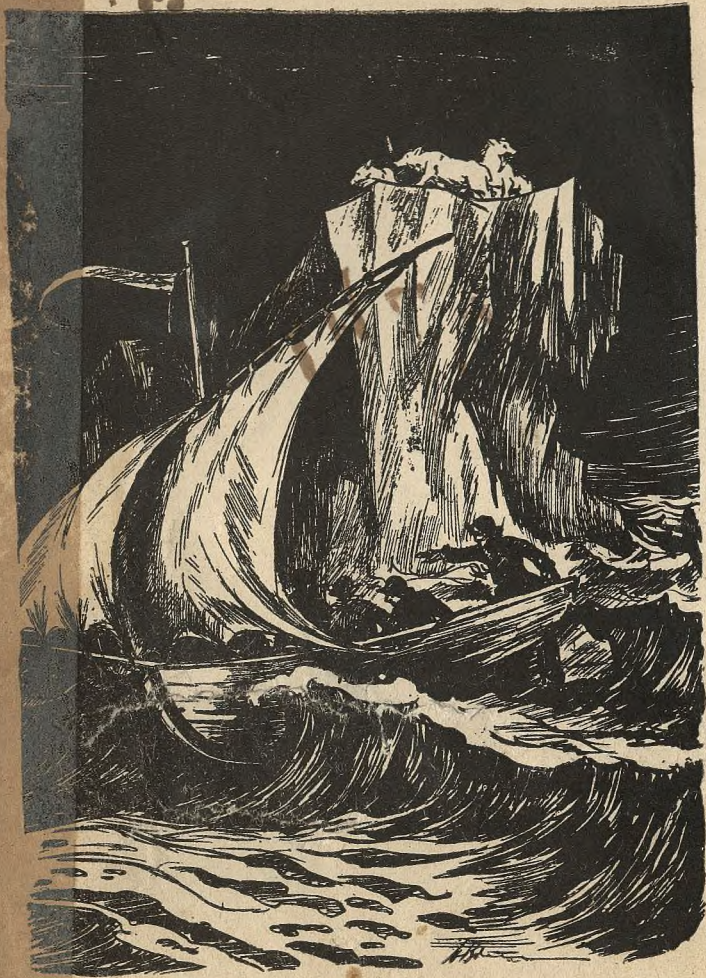


2747.



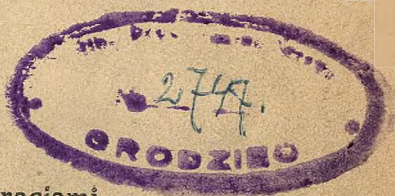
2747

2232/79



JULIUSZ VERNE

WŚRÓD LODÓW POLARNYCH



z ilustracjami.

WARSZAWA
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. PRZEWORSKIEGO
1932

2747.

LP 114 d 2

K- 79/2232
1.3 215



426016

I

Druk. „Floryda“ Warszawa.

Inwentarz Doktora.

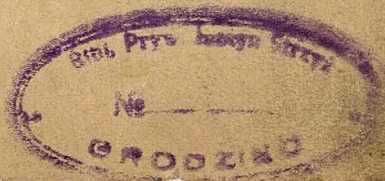
Wzorem wielu odważnych poprzedników, kapitan floty angielskiej Hatteras, wyruszył na swoim brygu „Forward” celem odkrycia bieguna północnego, pragnąc aby zaszczyt ten spotkał ojczyznę jego, Anglię.

Napróżno jednak walczył dzielny marynarz przez dziewięć miesięcy, z burzami, prądami i lodowcami, napróżno nadludzkie czynił wysiłki, ulepszając prace swoich poprzedników. Kiedy bowiem z brygiem swoim dotarł po za krańce znanych już mórz podbiegunowych i pracę swoją do połowy wykonał, jeden wypadek zniweczył jego nadludzkie wysiłki.

Oddalony o 2500 mil od brzegów ojczystych „Forward” padł ofiarą zbuntowanej załogi i kapitan, wraz z czterema najlepszymi ludźmi, pozostałymi z osiemnastu, znalazł się wśród lodów, bez środków pomocniczych i ratunkowych. Nie stracił on jednak nadziei i odwagi.

Resztki dymiące brygu, który zbrodnicza ręka wysadziła w powietrze, rozrzucone były po polu lodowem, kadłub zaś był wciśnięty pomiędzy bryły lodowe.

Wśród lodów



Nie bacząc na straszną katastrofę, kapitał Hatteras zebrałszy wokoło siebie małą gromadkę dzielnych towarzyszy. — Dra Clawbonny, sternika Johnsona i cieślę Bella — przemówił do nich z wiarą i zapałem, oświadczając, że bądź co bądź, przedsięwzięcie ich udać się musi.

Po obejrzeniu resztek pozostałych po wyznaczonym brygu, doktor Clawbonny stwierdził, że kosztowne jego narzędzia, zbiory i książki uległy zupełnemu zniszczeniu. Kiedy zamyslił się on nad ogromem poniesionych a niepowetowanych strat, podszedł doń sternik Johnson, na którego rękach widniały jeszcze ślady walki, jaką stoczył ze zbuntowaną załogą statku.

Doktor podał mu rękę i począł pocieszać go, zachęcając do wytrwałości i odwagi.

— I ja bardzo żałuję naszego statku, do którego przywiązaliśmy się wszyscy, — mówił doktor.

— Ktoby przypuszczał doktorze, że to zbiorowisko belek desek i żelaza stanie się dla nas tak drogiem?

— A co się stało z szalupą Johnsonie?

— Ocalała, doktorze lecz Shandon i reszta buntowników zabrali ją ze sobą.

— A pirog?

— Oto szczątki z niego doktorze, patrz pan na ta kupę rumowisk.

— Pozostaje nam więc tylko czółno, które zabraliśmy na wycieczkę.

— Cz się stało z saniami, któremi wyruszyliście na wycieczkę? — pytał Johnson.

— Pozostawiliśmy je o milę stąd. Simpson który z nami wyruszył, zmarł w drodze, zamiast niego przywieźliśmy jednak innego, człowieka, którego znaleźliśmy umierającego. Jest nim kapitan Altamont, amerykańnin.

Tymczasem kapitan Hatteras stał z rękami skrzyżowanemi na piersiach, milczący i zamyślony. Na twarzy jego malowała się jednak dawna energia.

Johnson, jak gdyby nie zwracając uwagi na kapitana, zaczął wydawać rozporządzenia.

— Doktorze, zechciej udać się do sań i sprowadź je tu wraz z chorym. Kapitanie, czy zechce pan towarzyszyć doktorowi?

— Pragnę zastanowić się nad tem, co dalej czynić mamy, musimy jaknajprędzej zdecydować coś stanowczego, pozwólcie mi zastanowić się, sami tymczasem, czyńcie co za stosowne uznacie.

Doktór poprawił na sobie odzież, wziął do rąk okuty kij podróżny i ruszył w stronę, gdzie pozostawił sanie.

Tymczasem Johnson i cieśla Bell zabrali się do przygotowania schroniska, które wyrąbawali w grubym lodzie. Niezadługo pracowali już w wydrążeniu, wyrzucając zeń bryły lodu

Kapitan kilkakrotnie chciał zbliżyć się do miejsca katastrofy z brygiem, lecz za każdym razem wracał się; zdawało się, że jakaś obawa odpycha go od resztek jego statku.

Nie upłynęło i godziny gdy powrócił z saniami doktor, wioząc na nich owiniętego w płótno namiotu, chorego Altamonta. — Wygłodzone psy ledwie powłóczyły nogami, należało coprędzej dać im pożywienie, i wypoczynek, co również należało s^{ta} i ludziom.

Po upływie trzech godzin domek z lodu był gotów; wstawiono weń mały piecyk żelazny, który doktor znalazł w rumowiskach, prawie, że nieuszkodzony i wkrótce przyjemne ciepło napełniło schronisko nieszczęśliwych rozbitków.

W głębi domku, na kołdrach ułożono chorego Altamonta, zaś czterej anglicy zajęli miejsca około piecyka, posilając się sucharami i pijąc herbatę. Były to resztki prowiantów znajdujących się w saniach

Kapitan ciągle był milczący, towarzysze zaś jego szanowali to milczenie. Po skończonym posiłku doktor wyprowadził Johnsona i proponował mu aby bezwzględnie pozbierać resztki rzeczy z brygu, które mogły się na coś przydać. Przedewszystkiem zaś proponował zbierać żywność i drzewo, jako rzeczy najpotrzebniejsze.

Drzewa było wiele, za to żywności zebrano

bardzo mało. Wszędzie przeważała wielka ilość żelaznych części maszyn okuć i blach. Wybuch był tak gwałtowny, że wszystko prawie, było podruzgotane i spalone. Zapasy spiżarniane uległy przeważnie zniszczeniu, znajdowały się bowiem w bliskości prochuwni

Doktór, czyniąc dalsze poszukiwania, znalazł resztki pemikanu, około 15 funtów, 4 dzbany, zawierające 5 — 6 kwart wódki, oraz 2 paczki chrzanu, który mógł zastąpić utraczony sok cytrynowy, używany z pomyślnym skutkiem przeciw skorbutowi. Po upływie dwóch godzin doktor i Johnson zeszli się razem, komunikując sobie wzajemnie szczegóły dotyczące znalezionych przedmiotów. Artykułów żywnościowych odszukano niestety bardzo mało, znalazło się zaledwie trochę suszonego mięsa, około 50 funtów pemikanu, 3 worki sucharów, trochę czekolady, niewiele wódki i dwa funty kawy. Nie znaleziono natomiast śladów kołder, hamaków i odzieży, widocznie spaliły się zupełnie.

Po dokładnem obliczeniu okazało się, że znalezione zapasy wystarczą zalewie na trzy tygodnie, i to przy skromnych porcjach codziennych.

Opału starczy nam także na trzy tygodnie, ale co będzie później? — zapytał Johnson.

— Później niech się dzieje wola Boska!

Niezdługo obaj powrócili do sań i psów, a zaprzągłszy je, zwieźli znalezione zapasy, poczem nawpół przmarzli zajęli miejsca obok piecyka.



II.

Odezwanie się Altamonta.

Była prawie 8 wieczorem, niebo oczyściło się z mgły i zajaśniały na firmamencie gwiazdy, mróz był silny.

Kapitan, nie rzekłszy słowa, wyszedł zabrawszy ze sobą narzędzia potrzebne do ustalenia wysokości niektórych gwiazd, chciał on przekonać się, czy pole lodowe, na którym znajdowaliśmy się, nie poruszyło się z miejsca.

Po upływie pół godziny powrócił i umieścił się w kącie domku, zachowując głębokie milczenie.

Podczas całego dnia nie można było wyjść na powietrze. Śnieg padał bez przerwy. Piecyk oddawał nieocenione usługi, służył on także do przygotowania herbaty lub kawy, które przy tej niskiej temperaturze wywierają wpływ zbawienny.

— 3 —

Chory amerykańcin cierpiał mniej i widocznie powracał do życia, otwierał już oczy, lecz nie mówił jeszcze; na jego ustach były ślady szkorbutu i dla tego też nie mógł mówić.

Ponieważ słyszał dobrze zakomunikowano mu jego położenie. Poruszał tylko głową na znak podziękowania za ocalenie mu życia.

Około południa ocknął się Hatteras z zadumy i zbliżywszy się do towarzyszy, prosił Johnsona aby opowiedział w jakich okolicznościach dokonana została zdrada.

Owszem kapitanie, opowiem jak się to stało. Zaraz po pańskim wyjeździe, porucznik Shandon, zachęcony przez całą zgraję, objął dowództwo okrętu. Cóż znaczył protest jednego człowieka? Od tej chwili każdy robił, co mu się podobało i Shandon temu się nie sprzeciwiał, zależało mu bowiem na tem, ażeby przekonać załogę, iż minął czas pracy i ograniczeń.

Niczego odtąd nie oszczędzano; w piecu palone bezustannie, prowiantami i trunkami rozporządzał się każdy dowolnie i łatwo może pan sobie wyobrazić, jak zwłaszcza tych ostatnich nadużywali ludzie oddawna trunku spragnieni.

Trwało to od 7 do 15 stycznia.

W dniu 24 czy też 25 postanowiono opuścić okręt i dotrzeć do zachodniego wybrzeża zatoki Baffińskiej, a stamtąd na szalu-

pie odszukać wielorybników, lub wylądować w osadach grenlandzkich na wschodnim wybrzeżu.

Żywności mieli zapas dostateczny; rozpoczęto więc przygotowania do porzucenia brygu i ucieczki. W tym celu zbudowano sanie, na które naładować miano zapasy żywności, opału oraz szalupę. Jako siła pociągowa, służyć mieli sami zbiegowie.

Przygotowania te trwały do połowy lutego. Spodziewałem się codziennie pana powrotu, kapitanie, obawiając się jednocześnie, że w razie powrotu, buntownicy zamordują pana, aby nie pozostać na okręcie. Tłumaczyłem im, że narażają się na zgubę a przy tem popełniają nikczemność.

Perswazje moje były jednak daremne!

Wreszcie naładowawszy sanie i szalupę ile się tylko dało, 22 lutego ruszyli na wschód. Przed odejściem zrabowano statek a wreszcie kilku pijanych, z Penem na czele, podpaliło Forwarda, pobiwszy mnie, kiedy próbowałem im przeszkodzić w spełnieniu tej zbrodni.

Chciałem ratować statek, lecz zbrodniarze zamrozili krany wodne. Pożar zwiększał się tymczasem coraz bardziej, ja zaś byłem bezsilny. W ciągu dwóch dni statek spłonął doszczętnie, resztę już wiecie...

Johnson skończył opowiadanie, żaden jednak z obecnych nie odezwał się.

Po upływie pewnego czasu podniósł się Hatteras i zbliżywszy się do Johnsona podał mu rękę mówiąc:

— Dziękuję ci, Johnsonie, postąpiłeś jak prawy i szlachetny człowiek, uczyniłeś wszystko co było w twojej mocy, aby ocalić okręt, dziękuję ci raz jeszcze, jesteś zacnym człowiekiem. Teraz radźmy co czynić dalej, niechaj każdy z was wypowie swe zdanie

Pierwszy wystąpił Johnson, zwracając się do kapitana z pytaniem jak daleko znajduje się najbliższe wybrzeże.

— Znajdujemy się w odległości około 600 mil od cieśniny Smitha.

— Radzę więc — powiedział Bell — jak najprędzej ruszyć w tym kierunku i iść chociażby dwa miesiące.

— Żywności mamy przecież tylko na trzy tygodnie, a przytem czeka nas droga uciążliwa i nieznana —mówił kapitan.

— Kapitanie — rzekł doktor — rozumiem wartość twoich zarzutów, i wiem, że porywamy się na czyn szalony, lecz masz że inny plan?

— Żadnego planu nie mam, nie sądzę przecież aby wasz był możliwy do wykonania, w tym stanie znużenia i wyczerpania, w jakim się obecnie znajdujemy.

Wybrzeże do nas nie przyjdzie, musimy więc odszukać je, a może napotkamy jakie plemię

eskimosów, z którym moglibyśmy wejść w stosunki i dostać się na wybrzeże.

Nie wątpisz przecież, kapitanie, o naszym poświęceniu i odwadze i znasz nas, że gotowi byliśmy dzielić z tobą los wspólny aż do końca. Jednakże uważam że nateraz wyrzec się musimy myśli dotarcia do bieguna północnego. Zdrada załogi unicestwiła twoje plany, lepiej przecież wrócić do Angiji aby wykonać je później.

— Być może, — dodał Johnson, że w cieśninie spotkamy jakiś statek, zmuszony do spędzenia tam zimy.

— W razie zaś ostatecznym, mówił doktor, o ile cieśnina będzie zamarzniętą, możemy po lodzie dostać się na zachodnie wybrzeże Grenlandji aby przez przylądek York dotrzeć do osad duńskich.

— Pan Clawbonny ma rację, dodał Bell, — powinniśmy bez zwłoki puścić się w drogę!

— A więc takie jest zdanie wasze — pytał Hatteras — i twoje Johnsonie.

— Tak jest kapitanie! odpowiedzieli razem.

Hatteras zamknął oczy i milczał czas długi, zastanawiał się widocznie nad powzięciem ostatecznej decyzji; widząc to, niecierpliwym doktór, począł ponownie zwracać się do niego i tłumaczył, że przecież odległość 600 mil możliwa jest do przebycia w ciągu trzech

tygodni, że przy oszczędnem zużyciu prowiantów i drzewa — wystarczą one na tak długi okres, że wreszcie niema innego punktu wyjścia nad tą podróż.

— Czy spodziewasz się czegoś kapitanie? zapytał Johnson.

— Sam nie wiem, któż z nas jednak przewidzieć może przyszłość? Zatrzymajcie się proszę, choć parę dni abyśmy pokrzepili nasze siły. Nie wytrzymacie w drodze nawet kilku dni, padniecie ze znużenia, poczekajcie choć dzień jeden!

Clawbonny już miał zamiar uleść proźbie kapitana, gdy wtem Bell począł ponownie nawoływać aby coprędzej brać się do opatrywania sań i szykowania się do drogi.

— A więc idźcie, idźcie wszyscy! Ja pozostanę tutaj z moim wiernym Dukiem! Duk! pójdź tu!

Pies, szczekając radośnie, podbiegł do swego pana.

Johnson spoglądał na doktora sądząc, że najlepiej będzie zgodzić się na jednodniową zwłokę. Clawbonny zrozumiał spojrzenie starego marynarza i już miał wyrazić swą zgodę, gdy wtem uczuł na swem ramieniu dotknięcie obcej ręki; odwrócił się więc i spostrzegł tuż za sobą leżącego amerykańcina, który widocznie wysłuchał poprzedniej ich rozmo-

wy, bo wydstawszy się z pod kołdry, podsunął się do doktora.

Hatteras i doktor przysunęli się do amerykańczyka i wtedy dopiero usłyszeli wymówiony przezeń wyraz „Porpoise“

— Co „Porpoise“ na tych wodach? zawołał kapitan.

Amerycznyk zrobił znak potwierdzający.

— Na północ ztąd?

— Tak.

— Czy wiesz miejsce gdzie się znajduje?

— Wiem!

— Dokładnie?

— Tak, odpowiedział amerykańczyk.

Po krótkim milczeniu, Hatteras zwrócił się do amerykańczyka z prośbą o wskazanie dokładnego miejsca postoju jego okrętu.

— Będę wyliczał stopnie, ty zaś zatrzymaj mnie giestem we właściwym miejscu.

Altamont kiwnął głową na znak zgody.

— Rozpoczynam więc od stopni długości: 105, 106, 107. Przy 120 amerykańczyk dał znak ręką. Z minutami poszło także gładko. Na 15 amerykańczyk znowu dał znak.

W dalszym ciągu, przeszedłszy do szerokości geograficznej, Hatteras dowiedział się, że „Porpoise“ uwięziony jest pod 120° 15 minut zachodniej długości i 83° 35 minutą północnej szerokości.

Dalsze badanie odłożyć musiano na później. Wyczerpanie Altamonta było tak wielkie, że biedak zemdłał.

— A więc przyjaciele widzicie, że ocalenie nasze znajduje się na północy a nie gdzie indziej!

Po pierwszym wybuchu radości, kapitan zasępił się, bo oto kto inny, i to amerykańnik, wyprzedził go o trzy stopnie w kierunku do biegu na północnego.



III.

Siedemnastodniowa podróż.

Wiadomości udzielone przez amerykańnika, zupełnie zmieniły położenie i plany rozbitków, którzy tak blizcy byli rozpaczy

Po przyjsciu amerykańnika nieco do siebie, zabrał się doktor do ponownego badania go.

Niezadługo dowiedział się Clawbonny, że okręt Altamonta był trzymasztowcem, pochodzącym z Nowego Yorku, obficie zaopatrzonym w prowianty i paliwo, rozbił się na skalistym wybrzeżu; legł na bok lecz ładunek jego ocalał w zupełności.

Amerykanin opuścił statek, wraz z załogą, składającą się z 30 ludzi przed dwoma miesiącami. Zabrawszy ze sobą 2 pary sań i szalupę zamierzali oni dotrzeć do zatoki Smitha, gdzie mieli nadzieję spotkać okręty wielorybnicze.

Znękani chorobami i trudami padali w drodze, tak, że w końcu z całej osady pozostał tylko Altamont i dwaj marynarze, wszyscy chorzy na szkorbut. Wreszcie pozostał on sam, umierający. Wtedy znalazł go Hatteras i zabrał na swoje sanie.

Amerykanin twierdził, że okręt jego wyruszył w celu odszukania drogi północno-zachodniej i, że został zapędzony w te strony a otoczony lodami uległ rozbiciu.

A więc towarzysze, mówił kapitan, szykujemy się do drogi, zamiast szukać zatoki Bafińskiej, ruszajmy ku północy, dla odszukania statku Altamonta, znajdziemy tam wszystkiego pod dostatkiem, przezimujemy więc z łatwością. Tymczasem spieszyć się musimy, bo kto wie, czy lody nie zapędziły go dalej na północ, a przeto i podróż nasza może potrwać znacznie dłużej.

Altamont, który przysłuchiwał się tej rozmowie, dał znak, że pragnie coś powiedzieć. Objął on doktora, że „Parpoise” nie mógł żadną miarą być poruszony z miejsca gdyż leży bokiem na skałach, znajduje się przeto

napewno na tem samym miejscu, gdzie go pozostawił.

Na tem przerwano rozmowy i poczęto przygotowywać się do podróży.

Bell i Johnson zabrali się do uporządkowania sań i urządzenia na nich posłania dla Altamonta, które przykryto płótnem z namiotu. Zapasy żywności dla ludzi i psów starczyły miały na trzy tygodnie. Drzewa zabrano ile się dało.

Robota prowadzona pośpiesznie, skutkiem zmęczenia i senności pracujących musiała być przerwana. Zanim jednak rozbitki ułożyli się do snu, zebrali się koło pieca, w którym porządny rozniecono ogień. Nieco pemiakanu, suchary i parę filiżanek kawy, wywołały dobry humor, do czego też w części przyczyniła się nadzieja na lepszą przyszłość.

Zrana o godzinie 7 ponownie zabrano się do roboty, którą ukończono dopiero o 3 po południu.

Mrok już zapadał, wprawdzie słońce od 31 stycznia ukazywało się, lecz słabo i krótko. Na szczęście już o godzinie 6 i pół ukazał się księżyc, którego promienie przy jasnym niebie oświetlały drogę. Temperatura, która od paru dni opadała, nakoniec doszła do 37 zimna.

Nastała chwila odjazdu, Altamont cieszył się z tego pomimo, że wstrząśnienia podczas

jazdy mogły go przyprawić o większy ból. Każdy zajął swe miejsce, Bell szedł na przodzie, doktor i sternik szli po bokach sań, czuwając nad nimi i, naganiając psy w miarę potrzeby, a Hatteras zamykał pochód.

Szli dość pośpiesznie. Przy niskiej temperaturze lód był mocny i gładki, psy nie nadwyrężały się, mając do ciągnięcia zaledwie 900 funtów.

Niezadługo jednak ludziom i zwierzętom zabrakło tchu, i musieli zatrzymywać się dla wypoczynku.

W stronie północno - zachodniej pole lodowe przedstawiało się jako niezmiernie biała, równa płaszczyna. Nie widać było żadnej wyniosłości.

Była to nieskończenie długa i jednostajna pustynia.

Takie wrażenie wyniósł doktor z widoku tej okolicy i podzielił się z niem ze swymi towarzyszami.

Panie Clawbonny, wie pan że idziemy po bardzo niebezpiecznej drodze? Coprawda można się do tego przyzwyczaić i zapomnieć o tem, lecz pomimo to lód, po którym przechodzimy, ukrywa pod sobą bezdenną przepaść.

Tak jest przyjacielu, ale nie mamy powodu obawiać się, że wpadniemy w jedną z nich bo przy mrozie 33 stopniowym moc tej białej

powinno est tak wielka, że wytrzymać by zdołała ciężar liwerpolskich składów zbożowych. Wogóle lód jest bardzo wytrzymały — 2-u calowy utrzymuje człowieka, 4 cale utrzyma konia z jeźdźcem, 5 — armatę z zaprzęgiem, a 10 — całą armję

W tej chwili Hatteras począł nawoływać do uwagi; mgła zwiększała się i utrudniała utrzymywanie się w kierunku prostym.

Około 8 wieczorem, wędrowcy zatrzymali się, po przejściu około 15 mil.

Rozbito namiot, napalono w piecu i po kolacji udano się na spoczynek.

W ciągu dni następnych pogoda sprzyjała naszym podróżnym, chociaż mrozy były tak silne, że rtęć zamarzała w termometrze.

Dnia 5 marca zauważył doktor dziwne zjawisko. Przy zupełnie bezchmurnem niebie, usianem gwiazdami, spadł obfity śnieg. Padał on przez 2 godziny.

Przyszła też ostatnia zmiana księżycą; przez 17 godzin panowała zupełna ciemność. Wędrowcy zmuszeni byli przywiązać się wzajemnie sznurami, aby się nie pogubić. Niemożliwem było utrzymać prosty kierunek drogi.

Dnia 16 marca, po 16 dniowym pochodzie, podróżni znajdowali się jeszcze o 100 mil od okrętu.

Na domiar ich cierpień zmniejszono im jeszcze racje żywności o czwartą część, aby tyl-

ko psy całkowitą dostały. Strzelano kilka razy do zająca i lisów lecz nie zabito ani jednej sztuki.

W piątek 15, spostrzegł doktor fokę, leżącą na lodzie. Zranione zwierzę chciało uciekać, lecz nie znalazłszy otworu w lodzie, zostało złapane i zabite. Był to piękny okaz, który dostarczył nie wiele mięsa, tranu zaś nikt pić nie mógł.

Skórę foki zabrano do sań

Nazajutrz zauważono na horyzoncie góry lodowe. Były one prawdopodobnie zapowiedzią bliskości wybrzeża.

W jednej z napotkanych wyniosłości podróżni wydrążyli sobie schronisko i zanocowali.

IV.

Ostatni nabój.

Ponieważ mróz dochodził do 40 stopni, a śniegu nie było, przeto Johnson wprowadził do schroniska lodowego również i psy aby je uchronić od zmarznięcia.

Stary marynarz spróbował karmić zwierzęta mięsem foki i ku wielkiej jego radości, psy jadły je chętnie.

Przed udaniem się na spoczynek, doktor objaśnił towarzyszów, że zapasy prowiantów mają się ku końcowi, należy przeto tembardziej spieszyć się w podróż.

Cieśla Bell najwięcej przygnębiony ze wszystkich, począł powątpiewać o istnieniu okrętu, Altamont jednak, który powoli zaczynał mówić, potwierdził swoje poprzednie opowiadanie i zaręczał, że okręt musi być niedaleko. Był to piątek.

W sobotę, Johnson obudził wszystkich wcześniej niż zwykle. Zaprzęg ruszył dalej w kierunku północno-wschodnim.

Pogoda był piękna, powietrze czyste ale zimno niezwykle, dochodzące do 42 stopni.

Doktor ze strzelbą krążył dookoła sań; mając wszystkiego cztery ładunki prochu i trzy kule, strzelał on do przebiegającego lisa lecz chybił.

Wieczorem posiliwszy się nieco, podróżni udali się, na spoczynek.

Dnia następnego, wyczerpani i opadli z sił, zaledwie się już wlekli.

Psy po zjedzeniu resztek foki, były również głodne. Przebiegło kilka lisów, do których doktor strzelił, lecz chybił; strzału nie po-

wtarzał, nie chciał bowiem ryzykować ostatniej kuli.

W niedzielę zjedzono resztki prowizji na wieczerzę.

Johnson zastawił na noc sidła, lecz nazajutrz, pomimo licznych śladów, nic w nich nie zastał. Gdy stał zmartwiony, naraz spostrzegł niedźwiedzia. Szybko pochwycił fuzję doktora i aby tem pewniej wymierzyć, zdjął rękawice.

Nagle z piersi jego wydobył się okrzyk bóleści i ciepłe palce przyłgnęły do przemarznętej lufy, strzelba wypadła mu z rąk i jednocześnie nastąpił wystrzał, niedźwiedź zaś oddalił się spokojnie. Na huk wystrzału przybiegł doktor, a zobaczywszy co się dzieje, zrozumiał wszystko.

Tymczasem marynarz rozpacział i klął samego siebie, nie zwracając uwagi, że ręce jego poczynają marznąć.

Doktor widząc na co się zanosi, wciągnął Johnsona do namiotu i rozkazał mu natychmiast zanurzyć ręce w wodzie, która się rozpuściła wskutek ciepła w piecyku, lecz miała temperaturę zaledwie kilka stopni ciepła. Woda poczęła się natychmiast ścinać, trzeba więc było rozcierać Johnsonowi ręce śniegiem, aby przywrócić prawidłowe krążenie krwi

— 203 —

Do godziny pracy doktora niebezpieczeństwo minęło, ale nie wiele brakowało aby biedny Johnson stracił, obydwie dłonie.

Doktór zalecał staremu marynarzowi, ażeby nie zbliżał się do pieca, gdyż to mogłoby szkodliwie nań działać. Dnia tego musiano się obejść bez śniadania; nie było już ani pemikanu, ani solonego mięsa, ani też sucharów, pozostało zaledwie pół funta kawy; trzeba było poprzestać na gorącym tym napoju, ztem ruszono w drogę.

Dnia tego przebyto zaledwie 3 mile, wieczorem nie miano co jeść, walczono daremnie z głodem. Nie widać było żadnego zwierzęcia, na cóż by się to wreszcie zdało? Nożami przecież polować nie można.

Johnsonowi zdawało się, że w odległości mili postępuje olbrzymi niedźwiedź, czatujący na podróżnych. Nic o tem nie mówił swym towarzyszom; wieczorem, jak zwykle zatrzymano się na spoczynek.

Wieczera składała się tylko z kawy. Niez szczęśliwi czuli, że ćmi im się w oczach, a mózg słabnie, dręczeni głodem nie spali ani godziny; straszne jakieś widziadła trapiły ich umysł.

Prawie z nadludzką siłą puścili się w drogę, popychając sanie, których psy już ciągnąć nie mogły.

Po dwugodzinnym pochodzie opadli jednak na siłach, Hatteras chciał iść jeszcze dalej; zawsze energiczny, przedstawiał, nalegał, prosił towarzyszy, aby powstali — lecz żądał rzeczy niemożliwej.

Przy pomocy Johnsona wydrążył otwór w górze lodowej, przy pracy tej ci dwaj ludzie wyglądali, jakby kopali grób dla siebie.

Po strasznych wysiłkach schronienie było gotowe i wszyscy doń weszli.

Tak przeszedł dzień. Wieczorem, gdy wszyscy spali, Johnson dziwne miał widzenie, wciąż majaczył o olbrzymich niedźwiedziach.

Często powtarzające się majaczenie o niedźwiedziach zwróciło wreszcie uwagę doktora. Zapytał on przeto starego marynarza, dla czego wciąż wspomina o niedźwiedziach i o jakie niedźwiedzie tu chodzi.

— O tego, który nas ściga, znajduje się on po za nami, o dwie mile pod wiatr, zauważyłem go już od dwóch dni.

— I nic mi o tem nie mówiłeś Johnsonie?

— Na cóż by się to zdało?

— To prawda — rzekł doktor — nie możemy doń strzelać, gdyż kul nie mamy.

Doktor zamilkł, pogrążywszy się w myślach, niebawem jednak rzekł do retmana:

— Jesteś więc pewnym, że zwierzę to nas ściga?

— Tak panie Clawbonny

- A więc jutro zabiję tego niedźwiedzia!
rzekł na to doktor.

- Jutro? - zapytał Johnson, jakby przebudzony ze snu.

- Jutro!

- Niema kulii!

- Zrobię ją.

- Niema ołowiu.

- Ale mam rtęć.

Powiedziawszy to, wziął termometr, który wskazywał w domku lodowym 7° ciepła. Wyszedł na powietrze, położył go na bryle lodu i powrócił. Temperatura zewnętrzna wskazywała 47° zimna

- Do jutra zatem, teraz zaśnij i czekaj spokojnie wschodu słońca.

Z brzaskiem dnia, doktor z Johnsonem wybiegli z domku, dążąc do termometru. Cała rtęć opuściła się na spód i utworzyła cylinder. Doktor, rozbił termometr i wydobył z niego kawał nadzwyczajnie twardego metalu.

- O, panie Clawbonny, to zadziwiające! o, pan jesteś wielkim człowiekiem!

- Nie, mój przyjacielu, ja tylko mam dobrą pamięć i wiele czytałem.

W tej chwili Hatteras wyszedł z domku; doktor pokazał mu bryłę rtęci i uwiadomił o swym zamiarze; kapitan uściśnął mu rękę w milczeniu i trzej myśliwi wyruszyli w drogę.



Pogoda była jasna; Hatteras wyprzedził swych towarzyszy i spostrzegł niedźwiedzia w odległości około 1.800 kroków.

Olbrzymi zwierz ani myślał się ruszyć, spostrzegłszy zbliżających się ludzi; patrzył na nich bez obawy i gniewu. Pomimo to nie łatwo było zbliżyć się doń dostatecznie.

— Na ten raz przyjaciele, rzekł Hatteras, nie idzie o przyjemność, lecz o ocalenie naszego życia, działajmy więc roztropnie!

— Cóż zamierzasz kapitanie?

Podejść do zwierzęcia na 10 kroków, ale tak aby nie być zauważonym.

— A to jakim sposobem?

— Sposób jest zuchwały lecz nader prosty, Chodźmy jednak do domku a Johnson niech pozostanie na straży, ukrywając się za tym o-wzgórkiem, resztę zobaczycie.



V.

Niedźwiedź i foka.

Hatteras z doktorem wrócili do schroniska, po drodze kapitan wtajemniczył doktora w swoje plany. Niedźwiedzie polarne ze szczegó-

Inem upodobaniem polują na fokę. Często czatują one na nie po całych dniach, przy otworach, przez które fokę wydostają się na lód. Hatteras więc, miał zamiar skorzystać z tego i przebrany w skórę fokę, jak najbliższej podejść do niedźwiedzia.

Kiedy podeszli do sań doktor wy dostał skórę fokę, Hatteras ubrał się w nią, a otrzymawszy z rąk doktora nabitą strzelbę, począł posuwać się w kierunku niedźwiedzia. Doktor wziął dwa topory i udał się do Johnsona.

— I cóż — zapytał tenże.

— Trochę cierpliwości — odpowiedział doktor — Hatteras ryzykuje życie, żeby nas ocalić.

Doktor był bardzo wzruszony, widział niedźwiedzia, poruszającego się niespokojnie.

Po upływie niespełna kwadransa niby fokę pęzłała po lodzie, a dla większego oszukania niedźwiedzia kryła się często po za wielkimi bryłami, teraz znajdowała się w odległości 300 stóp od zwierza.

Hatteras zręcznie naśladował ruchy fokę, i choć mu się to często nie zupełnie udawało, to jednak nieprzyjaciel tego nie zauważył.

Fokę, która zachodziła pomału z boku niedźwiedzia, udawała wciąż, iż go nie spostrzega; szukała niby otworu na lodzie, przez który mogłaby powrócić do wody



Niedźwiedź znowu ze swej strony skradał się do niej z największą ostrożnością.

Zaledwie o 10 kroków foka była oddalona od swego nieprzyjaciela, ten podniósł się nagle i jednym olbrzymim skokiem posunął się naprzód. Przerażony jednak, stanął o trzy kroki przed Hatterasem, który zrzuciwszy z siebie skórę, przykląkł i mierzył doń w samo serce.

Strzał rozległ się i olbrzym runął na lód.

Clawbonny pobiegł wraz z Johnsonem na miejsce walki.

Olbrzymie zwierzę powstało i jedną łapą machało w powietrzu, a drugą chwyciło śnieg, zapychając nim swą ranę.

Hatteras, nieporuszając się, czekał z nożem w ręku na nieprzyjaciela, widać jednak wymierzył dobrze i strzelił pewną ręką, bo zanim przybyli jego towarzysze już zatopił swój długi nóż w gardle zwierzęcia, a teraz stał spokojnie ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, patrząc na olbrzymie jego cielsko.

Johnson zaczął niezwłocznie zdejmować skórę z potwornego zwierzęcia, które wielkością dochodziło rozmiarów sporego wołu; miało ono 9 stóp długości i 6 stóp obwodu; z dziąseł wystawały dwa ogromne zęby, na 3 cale długie.

Rozplatawszy brzuch nożem, Johnson w żołądku jego nic nie znalazł, prócz wody;

widocznie niedźwiedź nie jadł od dłuższego czasu, pomimo to był bardzo tłusty, a wazyl przeszło 1.500 funtów.

Rozrąbano go na cztery części, z których każda wydała 200 funtów mięsa. Strzelcy zaciągnęli do domku lodowego, ogromny zapas żywności, nie zapominając zabrać i serca niedźwiedzia.

Towarzysze doktora chętnie by się rzucili na to surowe mięso, lecz on nie pozwolił na to do chwili, aż będzie upieczone.

Łatwo pojąć jak uroczyście obchodzono tę ucztę; doktor zalecał jednak wstrzemięźliwość, dając przykład ze siebie i zachęcał do natychmiastowej, dalszej podróży.

Altamont, coraz lepiej władający głosem, zapewniał, że odległość od okrętu nie wynosi więcej jak 48 godzin drogi.

Pokrzepieni i weseli ruszyli podróżni w dalszą drogę na północ.

W drodze doktor badał amerykańcina, pragnąc dowiedzieć się o celu jego podróży lecz odpowiadał on wymijająco.

— Mamy więc teraz dwóch ludzi, nad którymi czuwać musimy, powiedział doktor do Johnsona.

— Od chwili gdy yankes powrócił do życia mina jego wcale mi się nie podoba, odpowiedział sternik.

— Jeżeli się nie mylę, to odgaduje on zamiary Hatterasa.

— Sądziś więc doktorze, że amerykańnin miał te same zamiary co i my?

— Ja nic nie sędzę, położenie jednak jego statku na tej drodze daje wiele do myślenia

— Do licha! panie Clawbonny, nie miłą by było rzeczą współzawodnictwo ludzi takich jak oni.

— Daj Boże, abym się mylił, Johnsonie, gdyż współzawodnictwo mogłoby wywołać poważne zawiśnięcia i smutne, a nawet straszne następstwa.

— Panie Clawbonny, pan wszystkiemu zaradził!

— Mam nadzieję, Johnsonie!

Podróż odbywała się bez wypadku, mięsa było dosyć, jedzono go więc dowoli.

W sobotę, widok płaszczyzny lodowej począł się zmieniać. Coraz częściej napotymano bryły lodu, utworzonego z wód słodkich, co zwiastowało bliskość wybrzeża.

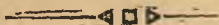
Nazajutrz, to jest w niedzielę, rano po zjedzeniu śniadania z łap niedźwiedzich, podróżni skierowali się nieco ku zachodowi.

Droga stawała się uciążliwszą. Altamont siedząc na saniach, przypatrywał się okolicy z gorączkowym zajęciem, niepokój ogarnął i pozostałych wędrowców.

Nareszcie około drugiej, Altamont wstrzy-

mał pochód donośnym okrzykiem, wskazując ręką białą masę, widoczną w oddaleniu a trudną do rozpoznania i zawołał

— „Porpoise”



VL

Porpoise.

Dnia 24 marca przypadała palmowa niedziela, święto, nader uroczyście obchodzone w Europie.

Jednak ponure milczenie panowało w tym pustym kraju! Huczał tylko ostry, dokuczliwy wiatr, nigdzie liścia, choćby uschłego, nigdzie odrobiny trawki.

Pomimo to niedziela ta była dniem wielkiej radości dla naszych podróżnych; przyspieszali kroku, psy ciągnęły z większą energją.

Niebawem ujrzano okręt amerykański.

„Porpoise” był całkiem zasypany śniegiem, nie widać było ani lin, ani masztów i rei, wszystko było zniszczone.

Okręt gwałtownem wstrząśnieniem przewrócony na bok, zdawał się być niezdatnym do zamieszkania.

Przekonali się o tem niebawem kapitan, doktor i Johnson, dostawszy się z trudnością do wnętrza statku.

Aby dojść do pomieszczenia z żywnością musieli uprzętnąć lody, grubości blisko 15 stóp, lecz ku ogólnej radości przekonano się, że dzikie zwierzęta, nie naruszyły ważniejszych prowiantów.

— Mamy tu dostateczną ilość żywności i paliwa — rzekł Johnson — lecz mieszkać na tym okręcie niepodobna.

Zbudujemy więc dom z lodu — odpowiedział Hatteras — i urządzimy się na tym lądzie jak można najwygodniej.

— Zapewne — odezwał się doktor — lecz nie spieszmy się. Od biedy możnaby czasowo umieścić się na okręcie, póki nie stanie dom trwały, któryby nas zabezpieczył od zimna i napadu dzikich zwierząt. Podejmuje się być architektem i zobaczycie zaraz, jak się wezmę do roboty.

— Nie wątpię o twych zdolnościach panie Clawbonny — rzekł Johnson — lecz sądzę, że należałoby naprzód dobrze obejrzeć wszystko, co się na tym okręcie znajduje; ze smutkiem jednak widzę, że niema tu ani dużego, ani małego czółna, a pozostałości są w tak złym stanie, że nie nadadzą się do zbudowania chociażby najmniejszego statku.

— Kto wiel — powiedział doktor — może

da się co zrobić. W tej chwili wszakże nie chodzi nam o to, na czym żeglować będziemy, ale o znalezienie bezpiecznego schronienia. Radzę więc o tem myśleć jedynie i robić wszystko w swoim czasie.

— Mądrze mówisz; — rzekł Hatteras, zaczynajmy od tego, co najpilniejsze.

Trzej towarzysze opuścili statek i powrócili do sań, by o postanowieniu swem uwiadomić Bella i amerykańnina. Bell był zaraz gotów do pracy, Amerykanin potrząsał głową na wiadomość, że okręt jego na nic się nie przyda, lecz ponieważ rozprawy w tym względzie na nic by się obecnie nie zdały, przeto zgodzono się na czasowe zamieszkanie okrętu „Porpoise” i budowanie obszerniejszego pomieszczenia na wybrzeżu.

O 4 godzinie po południu pięciu podróżnych jak mogło, tak się pomieściło na dolnym pomoście okrętu. Ze szczątków masztów i belek Bell ułożył podłogę. Altamont, wsparty na ramieniu doktora, bez trudności przeszedł do kącika dlań przeznaczonego. Przy wstępowaniu na swój okręt, odetchnął z zadowoleniem, z czego sternik nie był zbyt zadowolony.

— Czuję się w domu — rzekł stary marynarz do siebie — ma minę jakby nas jako gości zaprosił.

Resztę dnia poświęcono na wypoczynek.

Wiatr z zachodu zapowiadał właśnie zmianę powietrza, termometr wskazywał 32° zimna.

Wieczorem spożyto sporą ilość mięsa niedźwiedziego wraz z sucharami i herbatą, znalezionymi na okręcie amerykańskim, poczem strudzeni głęboko zasnęli.

Nazajutrz towarzysze niedoli zbudzili się trochę później, a myśli ich na nowe weszły tory; nie trwożyła ich już niepewność jutra, zajmowali się tylko urządzeniem się w sposób jak można najwygodniejszy.

Rozbitki uważali się za kolonistów, przybyłych do miejsca swego przeznaczenia, a wspominając o cierpieniach długotrwałej podróży, myśleli teraz tylko o znośniejszej przyszłości.

— Ach! — zawołał doktor, przeciągając się — co to za przyjemna rzecz nie myśleć o tem, gdzie się będzie dziś nocowało i co się jutro będzie jadło.

— Ale trzeba zrobić inwentarz — rzekł Johnson.

„Porpoise” był dostatecznie zaopatrzony na daleką wyprawę.

Inwentarz wykazał: 6.150 funtów mąki, kilkaset funtów sadła i rodzyneków na pudynge, 2.000 funtów solonej wołowiny i wieprzowiny, 1.500 funtów pemikanu; 700 funtów cukru i tyleż czekolady; 96 funtów herbaty; 500 funtów ryżu, kilka baryłek owoców i ja...

zakonserwowanych, znaczną ilość soku cytrynowego, 300 galonów rumu i wódki, wielki zapas prochu, kul, szrutu, ołowiu, oraz drzewa i węgla. Doktor z wielkiem zajęciem przyglądał się znalezionym instrumentom do żeglugi i, ku wielkiej swej radści odnalazł silną baterję Bunsena, zabraną w celu robienia doświadczeń elektrycznych.

Wogóle ta ilość zapasów mogła dla 5 ludzi najmniej na dwa lata wystarczyć, wobec czego znikła wszelka obawa o śmierć z zimna lub głodu.

— Skoro więc istnienie nasze jest zapewnione — rzekł doktor do kapitana — możemy więc teraz myśleć o dostaniu się do bieguna.

— Do bieguna! — powtórzył Hatteras radośnie.

— Bezwątpienia — dodał doktor — podczas letnich miesięcy możemy urządzać wyprawę lądem.

— Lądem, zapewne, ale czy i morzem?

— Czyż nie potrafimy z części „Porpoise” zbudować jakiejś łodzi?

— Szalupy amerykańskiej, nieprawdaż? — z pogardą odrzekł Hatteras.

Doktor domyślał się powodu tej odmowy i dlatego uważał za właściwe zakończyć tę drażliwą kwestję, zwracając rozmowę na inny przedmiot.

— Teraz, gdy już wiemy, jakie są nasze zapasy — powiedział on — trzeba zbudować składy i mieszkanie dla nas.

Materiału w tym celu nie brak, będziemy więc mogli wygodnie się urządzić. Bell zechce zapewne popisać się, a ja z mej strony służyć mu będę dobrą radą.

— Gotów jestem, panie Clawbonny — odpowiedział cieśla.

— A więc, przyjaciele, zacznijmy od wyboru miejsca.

— Polegam w zupełności na tobie, doktorze — odrzekł kapitan.

Powietrze było pochmurne, temperatura była znośna, bo nie było wiatru.

Sądząc z ukształtowania wybrzeży, wnosić było można, iż na zachodzie rozciągało się rozległe morze, zamarznęte w tej chwili.

Na wschodzie było zaokrąglone wybrzeże, wprzerzynane głębokimi odnogami, tworzyło ono tu dość obszerną zatokę, otoczoną skałami, na których właśnie rozbił się okręt „Porpoise”.

Dalej widać było górę, której wysokość doktor obliczał na 1.800 stóp.

Tuż w pobliżu wybrzeża zauważył doktor okrągłą płaszczyznę, o średnicy około 200 stóp, wznosiła się ona ponad zatoką z trzech stron, a z czwartej była zamknięta ostro sterzącą ścianą, wysoką na 120 stóp.

Na szczyt tej ściany można się było dostać gdyby wykuto schody w lodzie. Miejsce to wybornie nadawało się pod budowę.

Wkrótce doktor, Bell i Johnson wyrąbali schody i stanęli na płaszczyźnie.

Przekonawszy się, że miejsce jest dobrze wybrane, postanowiono usunąć warstwę śniegu, pokrywającą skałę, aby dostać się do gruntu stałego.

Pracowano usilnie przez trzy dni zanim dotarto do granitu, twardego jak szkło, zawierającego kryształy i granaty.

Następne pięć dni pracowano nad budową domku, który miał 40 stóp długości, 20 szerokości i 10 wysokości, zawierał zaś trzy przedziały: sypialnię, bawialnię i kuchnię. Po ukończeniu budowy, zaopatrzone jego cztery okna w tafle z cienkiego lodu, zastępujące szyby. Wejście zamknięto mocnymi drzwiami, przyniesionymi z okrętu.

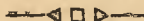
Ściany domu miały po pięć stóp grubości, a otwory okienne podobne były do luf działowych.

Wreszcie sprowadzono z okrętu umeblowanie. Łóżka ustawiono na około pieca, ławki, krzesła, fotele, stoły i szafy, ustawiono w bawialni, służącej również za pokój stołowy, a w kuchni umieszczono ognisko okrętowe oraz sprzęty gospodarskie. Płotna zastępowały dywany i portjery.

Po ukończeniu domu przystąpiono do budowy magazynów i prochowni, na co zużyto tydzień czasu, wraz z wyładowaniem okrętu. Nareszcie, 8 kwietnia, wszystkie zapasy znajdowały się już w bezpiecznym miejscu.

W bliskości domu wybudowano schronienie dla psów.

Po ukończeniu budowy, doktor zajął się obwarowaniem siedziby, aby zabezpieczyć ją od wszelkiej napaści.



VII.

Rozprawa o nazwach.

Podczas przygotowań do zimowania Altamont powrócił do zdrowia i powoli odzyskiwał siły. Silny organizm jego zwyciężył; bladeść powoli znikać zaczęła z jego twarzy. Ze zdrowiem powracała i dawna energia.

Pomiędzy amerykańnikiem a Hatterasem było pewne podobieństwo charakterów, sympatji jednak nie było widać, dla tego trudno było przypuścić aby wytworzyła się pomiędzy nim i szczerą przyjaźń.

Doktór przejrzał niebawem skryty charakter Altamonta i słusznie przeczuwał bliską niechęć, a nawet otwartą nienawiść pomiędzy obydwoma kapitanami.

Czy to przez prostą politykę, czy też widziany instynktem, amerykańnin okazywał doktorowi wiele sympatji, wprawdzie ocalił on mu życie, lecz sympatja więcej niż wdzięczność ciągnęła go ku temu zacnemu człowiekowi. Takie było naturalne następstwo charakteru doktora.

Po zupełnem ukończeniu budowy domu, doktor postanowił otwarcie jego uczcić biesiadą, zwyczajem przyjętym w świecie cywilizowanym Europy.

Bell upolował właśnie kilka ptarmigonów i białego zająca, pierwszych zwiastunów zbliżającej się wiosny.

Uroczystość odbyła się w niedzielę, 14 kwietnia. Uczta była wspaniała. Na deser podano likiery.

Przy wnoszeniu toastu na cześć Ameryki, Hatteras zachował najgłębsze milczenie.

Wówczas doktor poruszył kwestję bardzo zajmującą.

— Moi przyjaciele, niedosyć żeśmy przebyli cieśniny morskie, ławice i pola lodowe i doszliśmy aż do tego miejsca; mamy jeszcze jedno zobowiązanie.

Proponuję, aby nadać nazwisko tej ziemi

gościnnej, na której znaleźliśmy ocalenie i wypoczynek. Zwyczaj ten istnieje oddawna wśród żeglarzy całego świata.

— Doktor ma słuszość! zawołał Johnson.

— Nazwy — dodał Bell — upraszczają i ułatwiają wszelkie rozkazy. Może wyprawa jakaś lub polowanie zmuszą nas do rozstania, a wówczas, znając nazwę miejsca,] najłatwiej się znów spotkać.

— Ponieważ wszyscy w tym względzie się zgadzają — rzekł doktor — porozumiejmy się, jakie imiona nadać tym ziemiom, nie zapominając przytem o drogich nazwiskach naszej ojczyzny i przyjaciół.

— Masz pan słuszość, kochany doktorze — zauważył Amerykanin — a przytem sposób, w jaki tę rzecz przedstawiasz, nadaje jej jeszcze większą wartość.

— A zatem — odpowiedział doktor — przyśpamy do dzieła.

Hatteras dotąd nie brał udziału w rozmowie, rozważał; gdy jednak zauważył, że oczy wszystkich zwróciły się na niego, powstał i rzekł:

— Wedle mego zdania, należałoby naszemu domowi nadać nazwę budowniczego, najlepszego między nami człowieka, i nazwać go: „Doctors — Hause”

— Zgoda — zawołał Bell.

— Będzie dobrze — rzekł Johnson.

Lepszej nazwy nie można wynaleźć, dodał Altamont, niech żyje nasz doktor Clawbonny!

Potrójny okrzyk rozleźł się jednomyślnie.

— Więc dom ten, zaczął znów Hatteras, nosić będzie nazwę swego twórcy, dopóki nie odkryjemy nowego lądu, któremu nadamy imię naszego przyjaciela.

— Ach! zawołał Johnson gdyby tak raj ziemski nie miał jeszcze nazwiska, to najlepiej by mu przystała nazwa Clawbonny.

Doktor, głęboko wzruszony, nie chciał przez skromność zgodzić się, nic mu to nie pomogło, musiał nareszcie przystać.

Postanowiono więc, że wspaniała ta uczta odbyła się w wielkiej bawialni „Domu doktora”, przygotowaną była w kuchni „Domu doktora”, że potem ułożono się do snu w sypialni, „Domu doktora”.

— A teraz, rzekł doktor, przejdźmy już do ważniejszych naszych odkryć.

— Oto jest ogromne morze, otaczające nas, rzekł Hatteras, na którym napewno dotąd żaden jeszcze okręt nie szybował.

— Żaden okręt! wtrącił ironicznie Altamont, zdaje mi się, że nie trzeba zapominać o „Porpoise”, który przecież lądem się tu nie dostał.

-- Moznaby to poniekąd przypuścić, sądząc po skałach, na których teraz pływa.

— Prawda, odzекrł Altamont nieco urażony, ale rozejrzawszy się w istocie rzeczy, zawsze to chyba lepiej, aniżeli wylecieć w powietrze, jak to uczynił „Forward“. Hatteras chciał już szorstko odpowiedzieć, lecz zaraz wmieszał się do rozmowy doktor.

— Moi przyjaciele, rzekł on, nie chodzi teraz o okręty, lecz o nieznanne morze...

Nie jest ono już nieznanem, powiedział Altamont, jest ono nazwane na wszystkich kartach krajów biegunowych.

Nazywa się „Oceanem Lodowatym„ i nie sędzę, aby potrzeba było nazwy jego zmieniać; jeżeli później się przekonamy, że jest ono częścią morza, jakąś tylko zatoką, to wówczas będziemy mieli czas postanowić, co robić należy.

Niech i tak będzie, rzekł Hatteras.

Zatem w tym względzie zgadzamy się już, dodał doktor, który już zaczął żałować, że wywołał rozprawę, drażniącą próżność narodową.

— Zajmijmy się więc lądem, na którym obecnie się znajdujemy, przemówił znowu Hatteras, o ile wiem, na najnowszych kartach nazwa ta nie jest jeszcze oznaczoną.

To mówiąc, spoglądał na Altamonta, który, niezmiyszany bynajmniej, odpowiedział.

— Może się pan w tym względzie myli?

— Ja mam się mylic? Ten ląd nieznanym...

— Ma już nazwę, dodał spokojnie Amerykanin.

Hatteras milczał, ale wargi mu drżały

— Trudno przecież zaprzeczyć, mówił dalej amerykańnik, że okręt „Porpoise“ przybił do tego wybrzeża, przypuściwszy nawet, że dostał się tu lądem, nie zmienia to postaci rzeczy.

Jest to twierdzenie bezpodstawne. Ażeby móż nadać jakiemuś krajowi nazwę, trzeba go przedewszystkiem odkryć, a tego pan przecież nie dokonałeś. Zresztą, gdyby nie my, cóżby się stało z tobą, mój panie, który chcesz nam dyktować teraz przepisy? Leżałbyś 20 stóp pod śniegiem!

— A pan, gdziebyś się teraz znajdował, gdyby nie mój okręt? Umarłbyś z głodu i zimna!

— Moi przyjaciele, rzekł doktor, uspokójcie się, wszystko da się zrobić, posłuchajcie mnie!...

— Ten pan prawil dalej Altamont, wakażąc na kapitana, może udzielać dowolnych nazw wszystkim lądom, które odkryje, ale ten ląd do mnie należy! Bezspornie, że ja przybyłem tu pierwszy! Żadna stopa ludzka nie dotknęła tego lądu przedemną, ja nadałem mu nazwę i taką też utrzyma.

— A jakaż to nazwa? — pytał doktor.

— Nowa — Ameryka.

Hatteras zacisnął pięści, ale jeszcze powstrzymał się od wybuchu.

— Czy możesz mi pan dowieść, pytał Altamont jeszcze raz, że Anglik jakiś wstąpił na ziemię tę wpierw, niż Amerykanin?

— Przyjaciele, odezwał się doktor najważniejszym prawem ludzkim jest sprawiedliwość, bo zawiera w sobie wszystkie inne. Bądźmy więc sprawiedliwi.

Pierwszeństwo Altamonta zdaje się tu być niezaprzeczonem, tembardziej, że Anglja nic na tem nie straci. Pozostawmy zatem tej ziemi nazwę Nowej-Ameryki, lecz za to nazwiemy zatokę, w której się znajdujemy, Zatoką Wiktorji.

— Zgadzam się, o ile ten oto przyładek, zachodzący w morze, nazwany będzie Przyładkiem Waszyngtona, odpowiedział na to amerykańkanin.

— Mogłeś pan być przecież wybrać nazwę mniej wstrętą dla ucha anglika, zawołał Hatteras.

— Nie mogłem jednak znaleźć droższej dla amerykańkanina, odpowiedział Altamont z dumą.

— Nie macie się o co sprzeczać, rzekł doktor, geniuszów winniśmy czcić wszyscy, bez względu na ich pochodzenie. Może teraz ty kapitanie..

Doktorze, rzekł kapitan, ponieważ to ziemia amerykańska, nie chcę aby imię moje zostało tu uwiecznione.

— Teraz więc kolej na nas, rzekł doktor, zwracając się do starego marynarza i cieśli, pozostawmy tu parę śladów naszej bytności. Proponuję aby wyspę, którą widać stąd, w odległości trzech mil, nazwać Wyspą Johnsona, ku czci naszego sternika.

— O panie Clawbonn,

— Górę, którą widzimy na zachodzie, nazwiemy Górą Bella...

— Za wiele dla mnie zaszczytu, powiedział Bell.

— To tylko sprawiedliwość, odparł doktor.

— Pozostaje więc tylko ochrzcić nasz szaniec, zauważył doktor, a ponieważ ocalenie nasze zawdzięczamy Opatrzności, przeto nazwiemy go Szanecem Opatrzności

— Jeżeli więc powrócimy z wycieczki na północ, przejdziemy przez przylądek Waszyngtona, aby dotrzeć do zatoki Wiktorji, a ztamtąd do Szanca Opatrzności, celem wypoczęcia w Domku Doktora.

— Zgoda, rzekł doktor, później i w miarę ważności odkryć, znajdziemy inne jeszcze nazwy, które, mam nadzieję, nie dadzą powodu do sprzeczek. Kto wie, jakie czekają nas jeszcze niebezpieczeństwa zanim powrócimy do kraju ojczystego, Pozostawmy na uboczu

zazdrość, będącą tu mniej jeszcze, aniżeli gdziekolwiek na miejscu. Pan mnie rozumiesz? panie Altamont, i ty, kapitanie Hatteras?

Słowa te pozostały bez odpowiedzi.

Mówiono potem o innych sprawach, o urządzeniu polowania celem powiększenia zapasów żywności, a także o urozmaiceniu czasu.

Z nadejściem wiosny powrócić musiały białe zajęce, kuropatwy, lisy i niedźwiedzie; postanowiono więc codziennie robić wycieczki po lądzie Nowej Ameryki.



VIII.

Wycieczka na północ.

Następnego dnia doktor wdrapał się na stromą skałę, do której przylegał domek lodowy. Skała ta kończyła się spłaszczonym, jakby ściętym wierzchołkiem.

Clawbonny, dotarłszy do [wierzchołka, ujrzał, jak okiem sięgnąć, białą płaszczyznę natury wulkanicznej, pokrytą wyniosłościami.

Płaszczyzna ta była tak jednolita, że nie da-

wało się różróżnić, gdzie kończy się ląd, a gdzie rozpoczyna morze.

Ponieważ doktor zauważył, że punkt ten panował nad całą płaszczyzną, powziął projekt wielce oryginalny.

Przyszło mu na myśl urządzić latarnię morską na wierzchołku skały, wznoszącej się ponad płaszczyzną.

Po powrocie do domu doktor opowiedział towarzyszom o swoim projekcie i o celu do jakiego chce on zbudować latarnię.

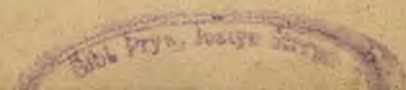
— Latarnię elektryczną, mówił doktor, zbudujemy z łatwością. Na „Porpoise” mamy baterję Bunsena i latarnię okrętową; należy tylko na szczycie góry ustawić słup i przymocować doń latarnię, którą połączymy z baterją, umieszczoną w naszym domku, będziemy mieli wyborne światło, widoczne zdaleka.

Posłuży ono nam do oświetlania płaszczyzny, oraz jako drogowskaz podczas nocnych wycieczek. Światło to nic nas nie będzie kosztowało.

Myśl rzucona przez doktora, podobała się wszystkim.

Bezzwłocznie zabrano się [do roboty i po upływie dwóch godzin, na szczycie, u słupa 10 stóp wysokiego, umocowana już była wielka latarnia.

Doktor umieścił w niej druty przewodnie, które drugimi końcami połączył z baterją,



ustawioną w pokoju bawialnym, domu lodowego.

Kiedy zmrok zapadł, piękne światło elektryczne, zajaśniało na szczycie góry.

Tryb życia mieszkańców domu lodowego został ściśle unormowany.

Od 15 do 20 kwietnia, powietrze było zmienne, temperatura ulegała często zmianom, atmosfera zaś, darzyła ciągłymi niespodziankami, to dął wiatr, to padał śnieg, to znów cisza nastawała i tak wielki mróz, że o wyjściu na powietrze myśleć nie było można.

Nareszcie w sobotę wiatr ustał i można było zrobić wycieczkę.

Postanowiono udać się na polowanie.

Rano, Altamont, doktor i Bell puścili się w drogę, zaopatrzeni w broń, amunicję, siekiery i noże.

W czasie ich nieobecności miał Hatteras zbadać wybrzeże.

Myśliwi szli w kierunku przylądka Waszyngtona, z łatwością posuwając się po zmarzniętym śniegu.

W ciągu półtorej godziny przeszli myśliwi trzy mile. Duk towarzyszył wyprawie.

Wybrzeże pochylało się ku wschodowi, wysokie zaś szczyty zatoki Wiktorja zdawały się skłaniać ku północy, co naprowadzało na domysł, że Nowa Ameryka mogła być jedynie wyspą.

Myśliwi, trzymając się wybrzeża, szybko posuwali się naprzód, krocząc przez okolicę, po której nie stąpała jeszcze noga ludzka.

W ciągu trzech godzin przeszli prawie 15 mil, nie napotkawszy nigdzie zwierzyny.

Celem ominięcia głębokich przapaści, wyrw i ostro wystających skał, musieli trzej myśliwi nakład ać dużo drogi.

Pomimo, że lody jeszcze były mocne, to jednak ślady fok wskazywały, że zwierzęta te ukazywały się już na polu lodowem.

— Zapamiętajmy sobie dobrze to miejsce, rzekł doktor, być może, że napotkamy w tem miejscu, w lecie, całe stado fok, do których z łatwością podejmiemy, o ile przedtem nie będą spłoszone, bo wówczas nie wracają w to miejsce.

— Czy na foki poluje się jedynie dla skór tłuszczu? pytał Bell.

Europejczycy tylko dla tego, eskimosi zaś żywią się niemi, choć mięso ich nie bardzo jest apetyczne, mógłbym jednak i z takiego mięsa zrobić smaczne kotlety, o ile przyczężylibyście wstręt do tego czarnego mięsa, którego grenlandczyk może zjeść 15 funtów w ciągu dnia.

— 15 funtów! zawołał Bell, a to ci ma żołądek!

— Są to żołądki podbiegunowe, które potrafią znieść zarówno nadmiar, iak i brak po-

żywienia. Rozpoczynając obiad, eskimos jest chudy, wstając zaś od stołu jest gruby i prawie nie do poznania.

Zdarza się nieraz, że obiad jego trwa przez dzień cały.

— Widocznie więc, rzekł Altamont, żarłoczność ta jest właściwą mieszkańcom zimnych krajów?

— Tak sądzę, odparł doktor, w krajach podbiegunowych trzeba jeść wiele, nie tylko dla nabrania siły, lecz i utrzymania się przy życiu.

— Panie Clawbonny, kiedy słyszę opowiadanie pana, czuję jak mi apetyt rośnie, mówił Bell.

— Ja zaś przeciwnie, zauważył Altamont, tracę apetyt, nabierając wstrętu do mięsa fokki. Zdaje mi się, że zaraz przekonać się będziemy mogli o naszych gustach, bo jeśli się nie mylę, to widzę na lodzie, jakąś poruszającą się ciemną masę.

— To koń morski, zawołał radośnie doktor, idźmy ostrożnie naprzód.

Olbrzymi okaz konia morskiego posuwał się po lodzie w odległości 200 metrów.

Trzej myśliwi rozeszli się w ten sposób, że odcięli zwierzęciu odwrót, a ukrywając się za wzgórkami lodowemi, zbliżyli się doń i dali ognia.

Ranione zwierzę usiłowało zdruzgotać bry-

ły lodu i uciec, lecz Altamont zbliżył się i przeciął mu pletwy na grzbiecie.

Zwierzę próbowało bronić się rozpaczliwie, ale kilka kul powaliło je na pole lodowe. Ubite zwierzę było wielkości niezwyklej, wydałoby ono niezawodnie kilka beczek tranu.

Doktór odciął najsmaczniejsze części mięsa, pozostawiając resztę na pastwę krukowi, ukazującym się już gdzieniegdzie.

Noc zbliżała się gdy pomyślano o powrocie. Jasne niebo usiane było gwiazdami. Aby skrócić sobie drogę powrotną, myśliwi omiotali wygięcia brzegu i szli wprost w kierunku zatoki.

Po kilku godzinach drogi, mały oddział zaśląkał się w zupełności; zatrzymano się przeto celem naradzenia się, co czynić dalej.

Altamont radził zanicować, lecz doktor oparł się temu stanowczo, nie chcąc niepokoić kapitana i Johnsona.

— Najlepiej będzie jeżeli poprowadzi nas Duk, rzekł doktor, instynkt jego więcej wart jest teraz, aniżeli busola i gwiazdy.

Duk, zachęcony, ruszył naprzód a za nim sunęła gromadka myśliwych; wkrótce oczom ich ukazało się, zdaleka widoczne, światło latarni. Po upływie dwóch godzin byli w domu.



IX.

Zimno i ciepło.

Pozostali w domu, z niepokojem oczekiwali powrotu myśliwych, tembardziej, że temperatura znacznie opadła i dochodziła do 33 stopni poniżej zera.

Po powrocie, doktor natychmiast zabrał się do przygotowania wieczerzy. Kotlety z konia morskiego smakowały wszystkim, zjadano je więc z apetytem.

Na deser przygotował doktor, jak zwykle, kawę ugotowaną na maszynie spirytusowej.

Twierdził on, że kawa wówczas jest dobra, jeżeli parzy w język. Tego wieczora pił ją tak gorącą, że towarzysze nie mogli go naśladować.

— Doktorze, pan się poparzysz, rzekł Altamont.

— To mi się nigdy nie zdarza.

— Chyba masz pan podniebienie [miedzia podkute?

—Wcale nie, przyjaciele, i radzę wam pójść za moim przykładem. Pijam kawę gorącą na 55 stopni.

— 55 stopni! taką temperaturę ręka zaledwie może wytrzymać!

— Ręka nie znosi temperatury wyższej ponad 50 stopni, ale podniebienie i język są o wiele wytrzymalsze.

— Zdziwiasz mnie, doktorze, rzekł Alfamont.

— Dobrze więc przekonam pana.

Wziąwszy termometr pokojowy, doktor zanurzył go w swej kawie i czekał dopóki taktowy nie wskaże 50 stopni gorąca, wówczas wypił z prawdziwą przyjemnością swój ulubiony napój. Bell chciał go naśladować, lecz poparzył sobie usta.

— Czybyś nam nie mógł powiedzieć panie Clawbonny, jaka jest najwyższa temperatura, którą znieść może ciało człowieka? pytał amerykańnin.

— I owszem, mamy w tym względzie szczegóły stwierdzone, niektóre z nich pamiętam. Opowiadają, że dziewczęta, zajęte w piekarni w mieście Rochefoucauld, we Francji, mogły pozostawać przez 10 minut w piecu, skoro ten ogrzany był do temperatury 132 stopni C., a w około nich piekły się jak najlepiej jabłka i mięso.

Drugi nie ulegający zaprzeczeniu przykład. Dziewięciu naszych rodaków: Fordyce, Banks Solander, Blagdin, Home, Noot, lord Seafort kapitan Philips znieśli w 1774 r. tempera-

ture gorącą na 128 stopni C., w której gotowały się jaja i piekł rostbeuf.

— I to byli Anglicy? z dumą zapytał Bell.

— Tak jest.

— O! Amerykanie byliby to jeszcze lepiej zrobili, zauważył Altamont.

— Bo by się popiekli, odpowiedział śmiejąc się doktor.

— A to dla czego? zapytał amerykańnin,

— Przedewszystkiem dla tego, że żaden dotąd nie próbował tego Ale oto przypomniałem sobie jeszcze jeden przykład, który mógłby być uważany za nieprawdopodobny, gdyby nie naocni świadkowie, którzy go swierdząją.

Książę Raguzy i doktor Jung, to jest Francuz i Austryjak, widzieli pewnego Turka, kąpiącego się we wodzie, mającej 78 stopni ciepła.

— I cóż w tem dziwnego, rzekł Johnson, wobec temperatury, jaką wytrzymały dziewczęta w mieście Rochefoucauld i nasi rodacy!

— Przepraszam, wielka istnieje różnica pomiędzy pozostawaniem w powietrzu gorącym, a w wodzie gorącej. Powietrze gorące wywołuje transpirację, zabezpieczającą ciało, podczas gdy we wodzie gorącej ciało nie transpiruje, a tylko się parzy.

Najwyższa temperatura dla kąpeli jest 42

stopnie, Turek więc ów musiał być człowiekiem niezwykłym, jeśli mógł znieść taki stopień gorąca

— Wszystko to bardzo piękne, odezwał się Hatteras, dotąd milczący, dziękuję doktorowi za udzielone nam wiadomości, ale uważam, że do tej pory rozprawy tycząły się tylko ciepła, jakby nas czekać miały wielkie upały.

Czy nie byłoby właściwszem pomówić o zimnie, dowiedzieć się, na co jeszcze możemy być narażeni i jaka jest najniższa dotąd zaobserwowana temperatura?

— Nic nadto łatwiejszego, odpowiedział doktor, służę chętnie objaśnieniami.

— Wierzę, rzekł Johnson, bo przecież pan wie o wszystkim.

— Moi przyjaciele, ja wiem to tylko, czego się od innych nauczyłem, a gdy wam to powiem, będziecie tyle wiedzieli, co i ja. O mrozach i zaobserwowanej w Europie temperaturze, mogę wam tylko to powiedzieć, że była dość znaczna ilość zim z silnymi mrozami i zdaje się, że takie srogie zimy powracają perjodycznie co 41 lat; odpowiada to epokom ukazywania się najliczniejszych plam na niebie. Wspomnę tu zimę 1344 roku, kiedy Rodan zamarzł aż do Arles, zimę 1408 roku, w której Dunaj pokrył się lodem na całej swej długości, zimę 1509 roku, podczas

której morze Adrjatyckie i Śródziemne zamrzły pod Wenecją, Ceutą i Marsylją, a morze Bałtyckie jeszcze 10 kwietnia nie było do przebycia; zimę 1608 roku, podczas której wyginęło wszystko było w Anglii, zimę 1789 roku, kiedy Tamiza pokryła się lodem aż do Gravesend, zimę 1813 rok, która tak strasznie dała się we znaki Fzancuzom, wreszcie zimę 1829 roku, najsroźszą i najdłuższą ze wszystkich zim XIX stulecia.

— Powiedz nam jednak doktorze, do jakiego stopnia może dojść tu zimno? pytał Altamont.

— Zdaje mi się, żeśmy sami przebyli największe mrozy, jakie były kiedykolwiek obserwowane na świecie, gdyż termometr wskazywał pewnego dnia 58 stopni poniżej zera, a jeśli mnie pamięć nie myli, największe obserwowane w tych stronach mrozy były 56 stopni.

— A zatem, rzekł Altamont, najwyższy i najniższy stopień temperatury, jaką człowiek znieść może, waha się między blisko 200 stopniami Far.

— Tak jest, odpowiedział doktor, termometr, umieszczony na wolnem powietrzu, nie podnosi się nigdy i nigdzie wyżej, jak na 57 stopni, a w czasie największego mrozu nie opada niżej jak do 58 stopni.

— A gdyby, zapytał Johnson, słońce nagle

zagasło, czyby na ziemi nie zapanowały jeszcze większe mrozy?

— Słońce wprawdzie nie zagaśnie ale gdyby się to nawet stało, mrozy nie byłyby większe jak te, o których poprzednio mówiliśmy.

— To zadziwiające.

— Wiem, mówił doktor, że dawniej przypuszczano, iż w przestrzeniach, znajdujących się po za atmosferą, zimno może dochodzić do tysięcz stopni, lecz po badaniach, dokonanych przez francuskiego uczonego Fourrier'a, teoria ta nie ma już żadnej podstawy; doszedł on w swych badaniach do rezultatów, że gdyby ziemia znajdowała się w przestrzeni, pozbawionej wszelkiego ciepła, to natężenie zimna, jakie teraz obserwujemy pod biegunem, byłoby o wiele większem i byłaby też znaczna różnica pomiędzy temperaturą dnia i nocy; stąd moi przyjaciele wniossek, że w odległości nawet milionów mil nie może być zimniej, niż tutaj.

A teraz, kochani przyjaciele, zdaje mi się, że dobrze zrobimy, jeżeli udamy się na spacer.

— Bardzo chętnie, odpowiedzieli wszyscy obecni.

— A kto zostaje na straży przy piecu?

— Ja, odpowiedział Bell.

— Czuwaj więc przyjacielu, ażeby ogień nie wygasł, bo mróz jest siarczysty.

— Bądź pan spokojny, panie Clawbonny, ja sam czuję mróz potężny, a jednak, patrz pan, niebo stoi w płomieniach.

— Istotnie, odpowiedział doktor, zbliżając się do okna, zorza północna w całej swej okazałości! Co za wspaniały świdok, napatrzeć się nie mogę!

Doktor nieraz podziwiał to zjawisko kosmiczne, na które towarzysze jego małą zwracali uwagę: zauważył on, że zaburzenia igły magnesowej zawsze poprzedzały te zjawiska i notował swe spostrzeżenia w oddzielnej książeczce.

Wkrótce wszyscy udali się na spoczynek, z wyjątkiem Bella, który pozostał na straży przy piecu.



Xⁿ

Zimowanie.

Życie, jakie pędzili nasi podróżnicy było nadzwyczaj jednostajne.

Kaprysy atmosfery, zmuszające do pozostawania w domu były na porządku dziennym.

Zaraz następnego dnia, termometr obniżył się o kilka stopni, śnieg wznosił się tumanami, które zasłaniały światło dzienne. Zmuszało to wszystkich do pozostawania w domu lodowym.

Wyszukiwano też sobie różne zajęcia, oczyszczano ze śniegu wejście i umacniano ściany domku i magazynu. Przedmioty zniesione z okrętu, ułożono w jaknajwiększym porządku.

Większą część dnia podróżni przepędzali na leżeniu. Hatteras leżał w zamyśleniu; Altamont pił lub spał. Doktor zajęty był często porządkowaniem swoich notatek, lub też opowiadał towarzyszom ciekawe i pouczające epizody z życia podróżników.

Z całą stanowczością twierdzić można, że doktor był duszą tego małego towarzystwa.

On to łagodził spory pomiędzy kapitanami, on pouczał ich i roweselał a swą prawością i szczerością umiał sobie zjednać wszystkich i powoli nawet począł wywierać pewien wpływ na Hatterasa, który go bardzo lubił i szanował.

Doktor mówił i robił wszystko z taką swobodą, że ci ludzie, znajdujący się o sześć stopni od bieguna północnego, uważali swe istnienie za zupełnie naturalne.

Gdy doktor mówił, słuchano go jakby rozprawiał w swoim gabinecie.

A przecież o ile różniło się położenie naszej gromadki, od położenia rozbitków, wyrzuconych na jedną z wysp Oceanu Spokojnego.

Tam natura sama dawała możliwość egzystencji. Polowanie, rybołówstwo oraz owocnośne drzewa zaspokoić mogą niezbędne potrzeby człowieka. Wyspy te znajdują się na szlakach, po których przepływają okręty, a przez to i wydostanie się z takiej wyspy nie jest tak beznadziejne.

Jakże różnem było położenie naszych rozbitków tu na wybrzeżu Nowej Ameryki.

Doktór, któremu najwięcej dokuczala bezczynność, z upragnieniem oczekiwał odwilży, aby móc robić wycieczki, choć z drugiej strony obawiał się aby wtedy nie rozpoczęły się tarcia pomiędzy obydwoma kapitanami.

Doktór pragnął przedewszystkiem usunąć z drogi wszelkie sporne sprawy i powoli doprowadzić do zgody pomiędzy obydwoma współzawodnikami.

Wiedział on, że nie tak łatwo mu to przyjdzie i dla tego często rozmyślał o rywalizacji tych dwóch ludzi i zastanawiał się nad sposobami umożliwiającymi zgodę.

Na ten temat prowadził on z Johnsonem częste narady i obaj myśleli nad sposobami wyjścia z tego błędnego koła, należało cierpliwie czekać odpowiedniej chwili.

Tymczasem wszyscy przebywali w domu lodowym, nie mogąc go opuszczać z powodu niepogody.

— Czy niema sposobu, aby się rozerwać? Żyjemy tu jak zwierzęta zasypiające na całą zimę, — zapytał pewnego wieczoru Altamont.

— To prawda, — odpowiedział doktor — za mało nas tu jest abyśmy mogli urządzić systematyczne rozrywki.

— Więc myślisz, doktorze, że łatwiej byłoby znieść nudy, gdyby nas było więcej?

— Nie ulega wątpliwości! bo kiedy całe osady okrętowe zimowały w stronach podbiegunowych, znajdowały zawsze jakieś zajęcie i nie nudziły się.

— Byłbym bardzo ciekawy wiedzieć, co ci ludzie robili; istotnie cudowny trzeba mieć umysł, aby wynaleźć coś wesołego w naszym położeniu.

— Nie było to znowu nic cudownego, wprowadzili oni do tych, daleko na północ wysuniętych krajów: czasopismo i teatr.

— Jakto? mieli swój dziennik i grali kome-dje?

— Tak jest i prawdziwą znajdowali w tem przyjemność. Kapitan Parry, zimując na wyspie Melville, podał projekt utworzenia pisma i urzędnienia teatru.

Porucznik Beechey był dyrektorem teatru, a kapitan Sabine głównym redaktorem pisma,

nazwanego „Zimową Kroniką”, czyli gazeta północnej Georgii.

Gazeta ta wychodziła w okresie od listopada 1819 r. do 20 marca 1820 r. Podawała zaś wszelkie szczegóły, dotyczące zimowania, opisywała polowania, drobne wypadki, spostrzeżenia meteorologiczne; mieściła się tam również kronika humorystyczna.

— Chciałbym bardzo przejrzeć wyciągi z tego czasopisma, mówił Altamont, artykuły tego dziennika musiały być zamrożone od pierwszego do ostatniego wyrazu.

— Broń Boże, w każdym razie to, co by się mogło wydać naiwnem Akademii literackiej w Londynie, wystarczało zupełnie osadzie zakopanej w śniegu. Sami osądzicie!

— Jakto, czyżbyś, doktorze, zapamiętał?...

— Nie zapamiętałem, ale znalazłem na pokładzie „Porpoise” opis podróży Parry’ego, który mogę wam odczytać.

Doktor wyjął wspomnianą książkę z szafy i odszukał odpowiedni ustęp.

— Patrzcie, tu mamy parę wyciągów z gazety „północnej Georgii”. Oto pismo wystosowane do naczelnego redaktora:

Z prawdziwą przyjemnością w gronie naszym przyjęto projekt pański, dotyczący założenia pisma. Jestem przekonany, że pod pańskim kierunkiem nie jedną dostarczy ono nam rozrywkę i uciechę przez 100 ciemnych

dni, które tu przepędzić mamy. Zbadawszy wrażenie, jakie wywarła zapowiedź pańska na całym towarzystwie, mogę pana zapewnić, używszy do tego wyrażenia prasy londyńskiej, że sprawa ta wywołała wielką sensację wśród naszej publiczności.

Nazajutrz po ukazaniu się pańskiego projektu, powstało na pokładzie niebывałe zapotrzebowanie atramentu.

Zielone sukno naszych stolików pokryło się niebawem mnóstwem stalówek, ku wielkiemu niezadowoleniu naszego służącego, który przy zamiataniu ukłuł się jedną z nich w palec.

Wszystkie nasze stoliki ugiwały się pod ciężarem pu'pitów do pisania, które od dwóch miesięcy Bożego świata nie oglądały, wydobyto również ze składów znaczną ilość papieru, spoczywającego od długiego czasu w zupełnem zapomnieniu.

Muszę jeszcze zwrócić pańską uwagę na jeden szczegół, a mianowicie, że znajdują się tacy, którzy do skrzynki redakcyjnej wrzucają artykuły pozbawione oryginalności, a przeto nieodpowiadające pańskiemu programowi.

Mogę cię, panie redaktorze, zapewnić, iż wczoraj wieczorem widziałem jednego z autorów, trzymającego w ręku otwarty tom „Spectatora“, z którego coś przepisywał.

Ostrzegam więc pana, abyś się miał na ostrożności przeciwko podobnym podstępom;

nie chcemy odczytywać w „Kronice zimowej” tego, co, być może, nasi przodkowie przed 100 laty czytali przy śniadaniu“.

Pysznie, wybornie, zawołał Altamont, w odezwie tej w istocie mieści się dobry humor!

— Słuchajcie dalej, tu oto, mówił doktor, znajdziemy opis cierpień i przykrości na dalekiej północy. Niektóre z tych obserwacji są bardzo trafne.



Wyjść rano na powietrze i narazić się na mimowolną kąpiel w otworze przez kucharza zrobionym.

Pójść na polowanie, spotkać wspaniałego renifera, zmierzyć do niego i nie wystrzelić z powodu wilgotnego ładunku.

Udać się w drogę, zabrawszy kawałek świeżego chleba, a gdy się poczuje głód, znaleźć chleb tak twardym, że go ugryźć nie można.

Nagle wstać od stołu, usłyszawszy, że w pobliżu okrętu znajduje się wilk, a powróciwszy, znaleźć się nagle w objęciach niedźwiedzia.

— I my moglibyśmy coś dodać do tych nieprzyjemności podbiegunowych, ale gdy się je raz przeszło, to przyjemnie o nich wspominać.

— Zaiste, odewał się Altamont, to bardzo zajmujące czasopismo, wielka tylko szkoda,

że nie możemy go prenumerować, ani być jego współpracownikami.

— A gdybyśmy sami spróbowali podobne założyć, zauważył Johnson.

— My, w pięciu? Zaledwie starczyłoby na redaktorów, a ktoś czytać będzie?

— To samo byłoby z teatrem, nie mielibyśmy widzów, dodał Altamont.

— A teraz idźmy marzyć o tem wszystkim, zauważył Johnson, jest późna pora chodźmy na spoczynek.

— Pilno ci coś dzisiaj, mój stary przyjacielu, rzekł doktor.

— Cóż chcesz, panie Clawbonny, czuję się tak dobrze w mojem łóżku, a zasnawszy, śnię tak przyjemnie o ciepłych krajach, i zdaje mi się, że jedną połowę życia spędziłem pod równikiem, a drugą pod biegunem.

— A więc, panowie, zakończył doktor; byłoby okrucieństwem męczyć dłużej naszego poczciwego Johnsona; słońce podzwrotnikowe oczekuje go, idźmy więc także spać.



XI.

Ślady na śniegu.

W nocy z 26 na 27 kwietnia temperatura znacznie się obniżyła. Śpiąc, uczuli podróżni dokuczliwe zimno, pomimo że będący na strazy przy piecu Altamont podsycali wciąż ogień, starając się utrzymać temperaturę 10° ciepła.

Nazajutrz wszyscy wstali bardzo wcześnie i zajęli się oczyszczaniem domu z otaczających go brył lodu i śniegu, który leżał na 15 stóp wysoko.

Doktor zajął się oczyszczaniem drogi do latarni. Przewidywał, on że burze śnieżne skończyły się i będzie można wyruszyć na polowanie, chciał więc aby jego sygnał świetlny był w porządku.

Pomimo, że był to prawie koniec kwietnia, podbiegunowa wiosna nie rozpoczęła się jeszcze. Należało czekać na nią prawie 6 tygodni, słońce bowiem grzało jeszcze zbyt słabo aby mogło spowodować odwilż.

Postanowiono jednak wybrać się na polowanie, aby nieco odświeżyć zapasy spiżarniane i użyć rozrywki.

Na wycieczkę myśliwską wybrali się więc doktór, Altamont i Bell. Nie uszli więcej nad 2000 kroków, kiedy spostrzegli na śniegu liczne ślady, które ich poprowadziły na brzeg zatoki Wiktorja.

Po dokładnem rozejrzeniu się w śladach, myśliwi doszli do wniosku, że są na tropie 5 niedźwiedzi.

Wygłodzone, skutkiem surowej zimy, mogły stać się one groźnemi, dla tego należało być ostrożnym i baczny w dalszym postępowaniu.

— Dla czego jednak ślady te widoczne są tylko w tem miejscu i nie giną w dali, rzekł Altamont, rozejrzmy się dokładnie po śniegu. Patrzcie, zwierzęta przyszły z południo-wschodu, tu się zatrzymały i z tego miejsca rozpoczęły poszukiwania.

— Ma pan słuszność, a nawet stanowczo twierdzić można, że nadeszły tu tej nocy,

— A może były tu i poprzedniej nocy, tylko śnieg zatarł ich ślady?

— Nie, należy raczej przypuszczać, że oczekiwały tu one przejścia burzy i wtedy nas zwietrzyły.

— Zdaje się że tak było w istocie, powiedział Altamont, możemy wreszcie przekonać się, czy powrócą znów następnej nocy.

— W tym celu zatrzymamy ślady na [pewnej] przestrzeni, jeżeli jutro znajdziemy świeże, to

już napawno będziemy wiedzieli, że to my jesteśmy celem, do którego dążą te zwierzęta.

Trzej myśliwi niezadługo zatarli wszystkie ślady na przestrzeni 600 stóp.

— Dziwne to jest jednak, że zwierzęta zwierzyły nas z tak wielkiej odległości, powiedział Bell.

— Niedźwiedzie mają wzrok bardzo bystry, węch nader delikatny, a przytem są niezwykle zmyślne, rzekł doktor.

— Kto wie, zauważył Bell, czy zwierzęta te podczas burzy nie doszły do naszego domku?

— To możliwe, lecz po cóż zatrzymywałyby się w tem miejscu?

— Na to nie mam odpowiedzi, rzekł Clawbonny, musimy przypuszczać, że będą one ciągle ścieśniać obręb poszukiwań.

— A teraz idźmy dalej i zachowujmy się ostrożnie!

Napróżno natężali myśliwi wzrok i bacznie badali bryły lodu, czy nie ukrywa się pod jaką z nich niedźwiedź; często duże bryły brali za niedźwiedzia, lecz ku wielkiemu ich zadowoleniu było to przywidzenie.

Nareszcie doszli do wzgórza, skąd mogli dojrzeć przylądek Waszyngtona i wyspę Johnsona.

Nie zauważyli nic, najmniejszego nie usłyszeli nawet szelestu. Przybyli wreszcie do domku lodowego i zaraz też opowiedzieli swą

przygodę Hatterasowi i Johnsonowi. Postanowiono czuwać jak najbaczniej.

Nic jednak nie zakłócało spokoju, noc przeszła bez żadnego wypadku.

Nazajutrz ledwie dzień zaczęło, Hatteras i jego towarzysze, dobrze uzbrojeni, wyszli celem obejrzenia śniegu; odkryli ślady, podobne do tych, które wczoraj zauważyli, z tą tylko różnicą, że były one bliżej; widocznie nieprzyjaciel gotował się do oblężenia szanca.

— Patrzcie na te ślady, stwierdzają one niedźwiedzia olbrzymiej wielkości.

— Tak, rzekł Johnson, z tego zbliżenia się można wnosić, że niedźwiedzie zamierzają urządzić napad na nas.

— Nie ulega to wątpliwości, oparł doktor, dlatego też nie pokazujemy się im. Nie jesteśmy dostatecznie silni, aby otwarcie z nimi walczyć.

— Lecz gdzież się ukrywają te przekłete niedźwiedzie?

— Prawdopodobnie pod jakąś bryłą lodu, w stronie wschodniej, skąd nas śledzą; nie narażamy się na nierozważne przygody.

— A polowanie? zapytał Altamont.

— Odłożymy na parę dni, znowu ślady zatrzymamy i jutro się przekonamy, czy się ukazą; w ten sposób poznamy dokładnie zamiary naszych nieprzyjaciół.

Trzeba było znosić nieprzyjemności zamknięcia, ale czy można było inaczej postąpić? W tak nierówną walkę nie można się było wdawać, a życie każdego było tak drogiem, że byłoby nierozsądnem je ryzykować. Jeżeli niedźwiedzie nic nie zauważą, zaprzestaną śledzenia; a może napotka się ich pojedynczo wówczas walka będzie miała szanse powodzenia.

Przez cały dzień, 20 Kwietnia, nieprzyjaciel nie dał znaku życia.

Nazajutrz szukano znowu poprzednio zatar-tych śladów, ku wielkiemu jednak zdziwieniu, nowych nie znaleziono.

— Wybornie, zawołał Altamont, niedźwiedzie zniecierpliwiły się i opuściły nas. Teraz ruszajmy na polowanie!

— Powoli! zawołał doktor. Dla większej pewności, domagam się jeszcze jednego dnia obserwacji; tymczasem jest pewność, że nieprzyjaciel ubiegłej nocy nie powrócił.

— Obejdziemy wokoło całą płaszczyznę, rzekł Altamont, wówczas będziemy wiedzieli czego się trzymać.

— Bardzo chętnie! rzekł doktor.

Daremnie jednak przeszukano przestrzeń w odległości owóch mil, nie znaleziono żadnego śladu.

— A więc idziemy na polowanie? zapytał amerykańczyk.

— Czekajmy do jutra, odpowiedział doktor

— A zatem do jutra, rzekł niezadowolony Altamont.

Wszyscy powrócili do szańca i każdy na przemian, jak dnia poprzedniego, miał przez godzinę stać na straży.

Gdy przyszła kolej na Altamonta, który zastąpił Bella, Hatteras zawołał wszystkich swych towarzyszków.

Doktor zaprzestał pisać w notatniku, Johnson zaś wstał od pieca.

Można było przypuścić, że Hatteras chciał z nimi pomówić o niebezpiecznym położeniu, lecz on nie o tem myślał.

— Moi przyjaciele, rzekł on, skorzystam z nieobecności tego amerykańczyka, aby raz móc pomówić o naszych sprawach; są rzeczy, które jego wcale nie obchodzą i do których pragnąłbym aby się nie mieszał.

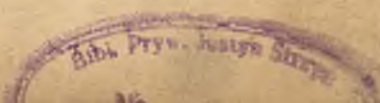
Wszyscy spojrzeli po sobie, nie wiedząc jeszcze o co mu właściwie chodzi.

— Chcę, mówił dalej, porozumieć się z wami względem projektów na przyszłość.

— Owszem, odpowiedział doktor, korzystajmy z tego, póki jesteśmy sami.

— Za miesiąc, rzekł Hatteras, a najpóźniej za 6 tygodni, nastanie znów pora do robienia dalszych wycieczek. Czy pomyśleliście o tem, co będziecie robili w lecie?

— A pan czy myślałeś? zapytał Johnson



— Ja? ja mogę powiedzieć, że niema godziny, w którejbym zapomniał o mej głównej myśli; przypuszczam; że nikt z was już nie ma zamiaru cofania się?

Na zapytanie to, żadnej nie było odpowiedzi.

— Co się mnie tyczy, mówił dalej Hatteras chociażby mi przyszło pójść samemu, pójde do bieguna północnego, od którego jesteśmy oddaleni najwyżej o 300 mil. Jeszcze nigdy ludzie nie byli tak blisko tego upragnionego celu, a ja nie myślę opuszczać takiej sposobności, bodajby mi przyszło użyć rzeczy nawet niepodobnych! Jakież jest wasze zdanie w tym względzie?

— Takie same, jak i twoje, odpowiedział doktor,

— A twoje, Johnsonie?

— Takie, jak doktora, odparł stary marynarz.

— A ty, Bellu, co myślisz o tem?

— Kapitanie, odpowiedział cieśla, nas nie oczekuje w Anglii rodzina, to prawda, ale ojczyzna pozostaje zawsze ojczyzną! Czy pan nie myślisz już o powrocie?

— Powrócić będzie można także i po odkryciu bieguna północnego, odpowiedział kapitan, nawet łatwiej jeszcze, bo przy powrocie oddalamy się coraz bardziej od najniższych punktów kuli ziemskiej.

Paliwo i zapasy żywności wystarczą nam jeszcze na czas długi. Nic więc nie może nas powstrzymać i samibyśmy winę musieli sobie przypisać, gdybyśmy nie dotarli do celu.

— Wszyscy zgadzamy się ze zdaniem pańskim, kapitanie!

— Nigdy nie wątpiłem o was, rzekł Hatteras. Zwyciężymy, moi przyjaciele, a Anglii przekażemy sławę wielkiego odkrycia!

— Lecz pośród nas znajduje się amerykańsin — rzekł Johnson.

Hatteras z gniewem poruszył się na tę uwagę.

— Wiem o tem, odparł] poważnie

— Nie możemy go tu przecież zostawić za-
uważył doktor.

— Nie, tego zrobić nie możemy, odpowiedział machinalnie Hatteras.

— On napewno pójdzie z nami.

— Tak, on pójdzie, ale kto będzie do-
wódcą?

— Pan, kapitanie!

— I gdy wy mnie słuchać będziecie, miał-
żeby ten jankes być nieposłusznym?

— Nie przypuszczam, odpowiedział John-
son, lecz gdyby się nie chciał poddać rozka-
zom?...

— Wówczas miałby ze mną do czynienia!
Milcząco przyglądali się trzej Anglicy Hat-
terasowi.

Po chwili doktor zaczął znów mówić:

— W jakiż sposób będziemy podróżowali?

— O ile możliwości wzdłuż wybrzeża.

— A gdy, co jest prawdopodobne, natrafimy na morze wolne od lodów?

— To je przepełniemy.

— A to w jaki sposób?

Hatteras nie odpowiedział, widocznie był zakłopotany.

— Być może, zauważył Bell, udałoby się zbudować szalupę ze szczątków „Porpoise“.

— Nigdy zawołał gniewnie Hatteras.

Szalupa zbudowana z okrętu amerykańskiego byłaby również amerykańską...

— Ależ kapitanie!... zaczął znowu Johnson.

Doktor powstrzymał starego marynarza znakiem, aby nie nalegał.

Kwestję tę najlepiej było odłożyć do odpowiedniejszej pory.

Chociaż doktor pojmował uprzedzenia Hatterasa, ale ich nie podzielał i miał nadzieję, że zdoła odwieść od nich przyjaciela.

Tak zakończył się dzień, noc przeszła również spokojnie. Niedźwiedzie znikły widocznie.



XII.

Lodowe wzięcie.

Dnia następnego postanowiono urządzić polowanie, w którym mieli uczestniczyć: Hatteras, Altamont i cieśla.

Ślady niedźwiedzie już się nie pokazywały, co zdawało się zwiastować, ich o dacie nie się.

Podczas wycieczki myśliwych, doktor miał zbadać lody na wyspie Johnsona i dokonać niektórych zdjęć hydrograficznych.

Mróz był duży, lecz wszyscy przywykli doń i nie odczuwali zimna.

Sternik pozostał celem strzeżenia domu.

Myśliwi, zaopatrzeni w broń palną, siekiery i noże oraz zapas pemikanu, na wypadek potrzeby zanocowania, wyruszyli z domku lodowego o godzinie 8 rano. Duk poprzedzał towarzystwo, skacząc radośnie.

Wszedłszy na małe wzgórze, obeszlą słup z latarnią i ruszyli przez równinę, graniczącą ze strony południowej z górą Bella.

Clawbonny, umówiwszy się z Johnsonem co do sygnału trwogi, na wypadek niebezpie-

czepstwa, zeszedł ku przegowi, aby dojść do zwałów lodowych, piętrzących się w zatoce Wiktorja.

Sternik pozostawszy w domu, również nie próżnował. Przedewszystkiem wypuścił psy z ich pomieszczenia na powietrze, gdzie tańczyły się z zadowoleniem po śniegu. Następnie zajął się sprzątaniami, naprawą obuwia, cerowaniem i rozmaitemi innymi czynnościami gospodarczymi, okazując w tem wprawę właściwą marynarzowi, który sam sobie radzić musi.

Podczas pracy rozmyślał on nad wczorajszą rozmową kapitana; bohaterski i zaszczytny jego opór, nie pozwalał aby Amerykanin lub jego szalupa przed nim lub z nim razem dotarła do biegun.

A jednak trudno by było przebyć ocean bez okrętu; nie można również przepłynąć 300 mil chociażby się było najlepszym pływakiera angielskim. Patryjotyzm ma także swoje granice. Doktor potrafi przecież w odpowiednim czasie wpłynąć na kapitana i odwieść go od jego zamiaru. Mógłbym iść o zakład, że popatrzy on dziś jeszcze na resztki „Porpoise” i zbada, co z nich zbudować można.

Upłynęła godzina od czasu wyjścia myśliwych, a Johnson wciąż oddawał się rozmyślaniam, gdy wtem dał się słyszeć strzał w odległości 2 — 3 mil pod wiatr.

— Pysznie, zawołał stary marynarz znaleźli coś, przytem niedaleko, skoro strzał słychać tak wyraźnie.

Rozległ się drugi strzał, a potem niebawem trzeci, czwarty, piąty i szósty.

— Sześć strzałów! pomyślał Johnson, nie mają pewnie nabojów, musiała tam być gorąca walka, albo nawet..

Johnson zbladł na myśl, która mu się w tej chwili nasunęła. Wybiegł szybko z domu, wdrapał się na wzgórze i zadrżał, spojrzawszy na dół.

— Niedźwiedzie! krzyknął.

Trzej strzelcy, poprzedzani przez Duka, biegli co tchu w kierunku domu, ścigani przez pięciu olbrzymich niedźwiedzi; sześć kul nie zdołało ich powalić i niedźwiedzie zbliżały się do uciekających. Hatteras, pozostawszy z łyku za resztą dla utrzymania zwierząt w jednej od siebie odległości, rzucił im swoją czapkę, siekierę i fuzję. Niedźwiedzie wedle swego zwyczaju wachały ciekawie rzucone im przedmioty, a tymczasem przestrzeń, oddzielająca ich od uciekających, zwiększyła się.

Bez tchu prawie, przybiegli Hatteras, Altamont i Bell do Johnsona i razem z nim zsunęli się ze wzgórza do domku lodowego.

Pięć niedźwiedzi dotykało ich już prawie;

kapitan nożem swolm odciał łapę, wyciągnę-
tą ku niemu.

W gnieniu oka Hatteras i jego towarzysze
byli zamknięci w domku; zwierzęta zatrzyma-
ły się na wzgórzu.

— Nakoniec, zawołał Hatteras, będziemy
mogli lepiej się bronić, pięciu na pięciu!

— Tylko czterech na pięciu, rzekł Johnson
przerażony.

— Jakto? zapytał Hatteras.

— Niema doktora, odpowiedział Johnson
wskazując na pusty pokój

— Gdziesz on?

— Poszedł ku wyspie!

— Nieszczęśliwy! zawołał Bell.

— Nie możemy go opuścić rzekł Altamont.

— Nie możemy, powtórzył Hatteras bie-
gnijmy!

Szybko drzwi otworzył, ale ledwie mógł je
zamknąć, niedźwiedź o mało nie zmiażdżył
mu czaszki uderzeniem swej łapy

— Otóż i są! zawołał kapitan.

— Wszystkie? zapytał Bell.

— Wszystkie pięć, odpowiedział kapitan.

Amerikanin poskoczył do okien i zatkał
otwory lodem, wyjętym ze ścian.

Pomimo niebezpieczeństwa, w jakim sami
się znajdowali, czterech tych ludzi myślało
tylko o groźnem położeniu, w jakim znaj-
dzie się doktor w czasie powrotu z wybrzeża.

Nie znajdowali sposobu aby zapobiedz nie-
szczęściu.

Jeden tylko sternik, wierzący w ostrożność
doktora, zapewniał ich, że Clawbonny słysząc
strzały, będzie liczył się z tem, że musiało
zajść coś niezwykłego.

— Jeśli jednak nie słyszał on strzałów?

Trzeba w jakikolwiek sposób pozbyć się
tych niebezpiecznych gości przed jego powro-
tem, radził Hatteras.

— Ale jak? oto pytanie

Odpowiedz nie była łatwa.

Trzeba było jednak zdecydować się na coś,
czas nagił.

Altamont zrobił w ścianie otwór i wsadził
weń fuzję, lecz skoro tylko ukazała się ona
na zewnątrz, niedźwiedzie wyrwały mu ją za-
nim mógł wystrzelić.

Położenie podobne trwało już przeszło go-
dzinę i na razie trudno było przewidzieć jak
się to skończy.

Naradzano się nad urządzeniem wycieczki,
lecz było to zbyt niebezpieczne a powodze-
nie wątpliwe.

Niemniej jednak oblężona czwórka chciała
raz położyć kres położeniu, które stawało się
śmieszne.

Naraz przyszła kapitanowi do głowy myśl
która pomimo swej prostoty, zdawała się by
bardzo dobrą

Wziął on długi drążek żelazny, którym porawiano w piecu i włożył go w ogień, następnie zrobił w ścianie otwór, lecz w ten sposób że pozostała nieprzebitą cienka skorupa lodu.

Towarzysze z ciekawością przygladali się tej pracy doktora. Gdy drąg rozpalił się do białości kapitan rzekł:

Ten rozpalony drążek będzie służył do odpędzania niedźwiedzi, a wy tymczasem przez otwór strzelać możecie, broni wam nie wyrwą.

— Dobry pomysł! zawołał Bell, zajmując miejsce obok Altamonta.

Hatteras wyjął żelazo z pieca i szybko wysunął je poza mur. Lód, pod wpływem żaru, zamieniając się w parę, zasyczał.

Dwóch niedźwiedzi niebawem nadbiegło, a chwyciwszy rozpalone żelazo, wydało ryk przeraźliwy; w tej samej chwili padły cztery strzały; jeden po drugim.

— Trafione! zawołał amerykańcin.

— Trafione! powtórzył Bell.

— Powtórzmy tedy nasz sposób [jeszcze raz, rzekł Hatteras, zatykając chwilowo otwór

Drążek włożono znów do ognia, po paru minutach był rozgrzany do czerwoności. Altamont i Bell, nabiwszy broń, stanęli znowu na swoich miejscach.

Hatteras oczyścił otwór i chciał weń włożyć drążek.

Tym razem jednak natrafiono na nieprzepuszczalną warstwę.

— Przekleństwo! zawołał amerykańnin, te przekłete bestje gromadzą bryły lodu, ażeby nas замуrować, żywcem pogrzebać.

— To niemożliwe!

— Patrzcie, drażka wysunąć nie można; doprawdy to wkońcu zaczyna być zabawne.

Położenie stawało się raczej niebezpieczne, niedźwiedzie jako bardzo zmyślne zwierzęta, użyły tego środka, aby uwieczonych narazić na uduszenie. Nagromadziły bryły w ten sposób, że wszelka ucieczka stawała się niemożliwą.

Upłynęły dwie godziny bez zmiany położenia; wyjście z domu było niemożliwem, zgrubiałe ściany nie przepuszczały już żadnego odgłosu z zewnątrz. Altamont przechadzał się szybkim krokiem, jak odważny człowiek, którego gniewa niebezpieczeństwo wyższe ponad jego odwagę. Hatteras z przerażeniem myślał o doktorze i poważnem niebezpieczeństwie, grożącym mu podczas powrotu.

— Ach, zawołał Johnson, gdyby pan Clabbonny był tu z nami!

— I cóżby począł? zapytał Altamont.

— On napewno zdołałby nas wyratować.

— A to w jaki sposób?

— Ba, żebym to wiedział, odparł Johnson, tobym się bez niego obszedł!

Wiem jednak, że jednej rady by nam teraz udzielił.

— Jakiej?

— Abyśmy co zjedli! Nic nam to przecież zaszkodzić nie może, przeciwnie.

— Więc jedzmy, kiedy chcecie zawołał Al-
tament.

Johnson, wychowany w szkole doktora, usi-
łował wobec niebezpieczeństwa udawać filo-
zofa, ale mu to się jakoś nie udawało.

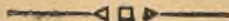
Tymczasem powietrze stawało się coraz
bardziej dusznem w hermetycznie zamkniętem
mieszkanu.

Istniała też uzasadniona obawa, że ogień
wkrótce w piecu zagaśnie; tlen, pochłonięty
przez oddychanie i ogień, ustąpić musi kwa-
sowi węglowemu, którego szkodliwy wpływ
znany jest ogólnie.

Postanowiono więc za jaką bądź cenę
wyjść na powietrze.

Poczekajmy aż noc nadejdzie, mówił Hat-
teras, wówczas zrobimy otwór w sklepieniu,
który nam sprowadzi świeże powietrze.

Jeden z nas zajmie miejsce obok otworu
celem strzelania do niedźwiedzi.





M i n a.

Około godziny 8 wieczorem przygotowania ukończono i broń starannie nabito. Otwór w sklepieniu domku był gotów, przez co powietrze wewnątrz od razu się poprawiło.

Tymczasem do uszu Johnsona, znajdującego się w sypialni, doszedł niezwykle szmer. Natychmiast przybiegł on do pozostałych towarzyszków i wystraszony oznajmił im o posłyszczanym skrobaniu ściany!

Wszyscy poczęli nadśłuchiwać.

Rozróżniono wreszcie szmer oddalony, który zdawał się pochodzić z bocznej ściany, widocznie ktoś robił otwór w lodzie.

— Skrobią lód! rzekł Johnson.

— Nie ulega wątpliwości.

— Czy niedźwiedzie?

— Tak niedźwiedzie.

— Zmieniły swą taktykę, rzekł stary marynarz, porzucili zamiar uduszenia nas.

— Lub myślą, że już jesteśmy uduszeni, dodał rozgniewany amerykańczyk.

— Zapewne teraz otwarcie na nas napa-
dną, rzekł Bell.

— A więc dobrze! powiedział Hatteras, będziemy walczyli oko w oko.

— Do tysiąca djabłów mam już dosyć tych niewidocznych wrogów, teraz ich zobaczę i będę się z nimi bił, krzyknął Altamont.

— Ale strzelać nie można, na tak wąskiej przestrzeni, mówił Johnson.

— Mamy przecież topory i noże.

Dziwny szmer rósł tymczasem i wyraźnie już rozróżnić się dawało skrobanie pazurami po ścianie.

— Zwierzę znajduje się od nas najwyżej o 6 stóp, powiedział sternik.

— Masz słuszność, mówił amerykańnik, ale mamy dosyć czasu aby, też zgotować im godne przyjęcie.

Amerykanin wziął topór w jedną rękę, nóż w drugą i gotował się do ataku. Hatteras i Bell uczynili to samo, Johnson trzymał w ręku strzelbę.

Skrobanie słyszeć się dawało coraz wyraźniej; lód trzeszczał już pod naciskiem pazurów.

Nagle warstwa ta pękła i olbrzymie ciemne ciało ukazało się w otworze.

Altamont szybko podniósł rękę celem wymierzenia ciosu.

— Stójcie, na Boga! zawołał dobrze znany głos.

— Doktór! doktór! wołał uradowany sternik.

Wistocie był to doktor, który runął na środek pokoju.

— Dobry wieczór moi odważni przyjaciele! Zdumieni pojawieniem się doktora, poczęli go ściskać i winszować mu, tak szczęśliwego ocalenia.

— Panie Clawbonny, pytał sternik, skąd wiedział pan o napadzie na nas niedźwiedzi?

— Widziałem wszystko dokładnie, odpowiedział doktor. Znajdowałem się właśnie w pobliżu rozbitego okrętu, gdy usłyszałem wasze strzały.

Natychmiast wdrapałem się na wzgórek i ztamtąd widziałem przebieg całej gonitwy.

Uspokoiłem się nieco, gdy spostrzegłem jak się zatrzymały a wy ukryliście się w domku.

Zacząłem wtedy myśleć o sobie i powoli pełzając i kryjąc się za wzgórkami, posuwałem się ku szańcowi. Widziałem jak te bestje zamurowały was w domku i całe szczęście, że nie przyszło im na myśl stoczyć na was z góry olbrzymie bryły lodu, które by was zgmiotły na miazgę.

Z nastaniem zmroku, postanowiłem dostać się do was, od strony magazynu z prochem i po długim skrobaniu i wierceniu dostałem się do was, wprawdzie zmęczony i wyglodzony, ale cały, aby was ocalić.

Przedewszystkiem jednak, dajcie mi coś do

jedzenia, bo doprawdy, upadam z głodu.

Podczas gdy doktor zajadał suchary i mięso, niecierpliwym Bell zapytał:

— Jaki to sposób ocalenia nas masz doktorze?

-- Zwyczajny, pozbyć się musimy tych bestji.

— A czy jest na to sposób?

— Jest, i bardzo pewny.

— A co, nie mówiłem! zawołał Johnson, zacierając ręce, przy panu Clawbonny nie mamy czego rozpaczać.

— Doktorze, mówił Altamont, zwierzęta nie wtargną do nas przez otwór, którym ty się dostałeś?

— Nie, otwór od zewnątrz dobrze zatkałem; my zaś dostaniemy się przezeń do składu prochu.

— Dobrze! lecz powiedz nam wreszcie jak zamierzasz pozbyć się napastników?

— Bardzo prostym sposobem, do którego przygotowania już poczyniono.

— Jakim sposobem?

— Wkrótce zobaczycie. Ale zapomniałem was zapoznać z towarzyszem, i rzekłszy to doktor przyniósł z przejścia zabitego przez łebie lisa.

Oto moja dzisiejsza zdobycz, przekonam się niebawem, że nigdy jeszcze lis nie był więcej w porę.

— Lecz jaki ma pan plan? pytał Altamont.

— Mam zamiar za pomocą centnara [prochu wszystkie niedźwiedzie wysadzić w powietrze.

Obecni z podziwem spojrzeli na mówiącego doktora.

Doktor objaśnił towarzyszy, że galerja przez niego zrobiona, ma prawie 60 stóp długości i łączy się z prochownią.

- A gdzie będzie założona mina? pytał amerykańczyk.

— W miejscu najbardziej oddalonem od domu, prochowni i magazynów, w jaki zaś sposób przywabie w to miejsce zwierzęta zobaczycie, teraz bierzmy się do roboty.

W czasie nocy musimy zrobić przejście 100 stóp długie, każdy z nas pracować będzie godzinę na zmianę. Niechaj Bell rozpoczyna, my tymczasem odpocznijmy.

Natychmiast doktor, wzięwszy ze sobą Bella, udał się z nim do prochowni, gdzie udzielił mu odpowiednich instrukcji, poczem powrócił do domku.

Bell, w ciągu godziny, zrobił korytarz, około 10 stóp długi, po nim nastąpił Altamont, później kapitan, dalej Johnson. W dziesięć godzin, to jest o godzinie 8 rano, przejście było gotowe.

O brzasku doktor przyglądał [się niedźwiedziom przez otwór zrobiony w [ścianie

Zwierzęta nie ustąpiły z zajmowanego stanowiska, przechodziły one z jednego miejsca na drugie i mruczały.

Widocznie jednak w końcu straciły cierpliwość bo poczęły rozrzucać nagromadzone poprzednio bryły lodu.

— Widocznie pragną dostać się do nas, mówił doktor.

Nareszcie Clawbonny wsunął się do miejsca gdzie miała być założona mina i polecił rozszerzyć przestrzeń na całą wysokość i szerokość pochyłości. Wkrótce pokrywała ją tylko cienka powłoka lodu, którą trzeba było podeprzeć aby się nie zawałiła.

Słupek oparty na granitowej ziemi, służył za podporę. U szczytu umieszczono lisa, a u dołu przywiązano długi sznur, ciągnący się do składu z prochem.

Towarzysze doktora spełniali jego rozkazy, nie rozumiejąc ich.

Oto przynęta, rzekł on, wskazując na zabitego lisa.

Do słupka zatoczono beczkę, zawierającą około centnara prochu.

— A to jest mina.

— Abyśmy tylko razem z nimi nie wylecieli w powietrze, rzekł Hatteras.

— Nie wylecimy, jesteśmy znacznie oddaleni od miejsca wybuchu, przytem dom nasz jest mocny.

— Wszystko to dobrze, rzekł Altamont, ale jak przystąpić do dzieła?

— W sposób następujący: jeżeli pociągniemy sznur, przewrócimy podpórę, podtrzymującą powłokę lodową ponad miną, lis stanie się wówczas widocznym i łatwo przypuścić, że zgłodniałe długim postem zwierzęta natchmiast się nań rzuca.

— Zgoda!

— W tej chwili podkładam ogień pod minę i wyrzucam jednocześnie w powietrze ucztę i gości.

— Pięknie, bardzo pięknie! wołał Johnson, przysłuchując się objaśnieniom doktora z wielkiem zajęciem.

Hatteras miał do przyjaciela takie zaufanie że nie żądał dalszych objaśnień, czekał spokojnie. Altamont pragnął jednak być szczególnie poinformowanym.

— Doktorze, zechciej mi powiedzieć jeszcze, rzekł on, jak zdołasz obliczyć tak ściśle palenie się lontu, aby eksplozja nastąpiła we właściwym czasie?

— Pocóż uczyliśmy się fizyki, rzekł śmiejąc się doktor, gdybyśmy sobie nie umieli w takiej okoliczności radzić.

— Aha! zawołał Johnson rozpromieniony, fizyka poradzi!

— Naturalnie. Czyż nie mamy tu baterji elektrycznej i dostatecznie długich drutów

przewodnich? Tych samych, które nam służyły przy urządzeniu światła w latarni.

— I cóż z tego?...

— To, że zapalimy bez żadnego niebezpieczeństwa dla nas minę wtedy, kiedy zechcemy.

— Hura! wołał Johnson.

— Hura! powtórzyli wszyscy, nie dbając o to, że nieprzyjaciel usłyszeć ich może.

Natychmiast przeprowadzono druty elektryczne od domku aż do miejsca, gdzie znajdowała się mina. Jedne końce drutu były umocowane w baterji, a drugie umieszczono w beczce z prochem w małej od siebie odległości.

O godzinie 9 rano wszystko było gotowe. Niedźwiedzie z całą wściekłością pracowały tymczasem nad dziełem zniszczenia.

Doktór oznajmił o nadejściu chwili działania.

Johnson otrzymał polecenie pociągnięcia za sznur w składzie prochu i w tym celu udał się tam niezwłocznie.

— Teraz trzymajcie broń w pogotowiu, na wypadek, gdyby zwierzęta nie zostały od razu zabite, rzekł doktor, i stójcie po stronie Johnsona a po wybuchu wybiegnijcie natychmiast.

— Zgodzi

— A teraz zrobiwszy wszystko co było w naszej mocy, resztę zdajmy na wolę Nieba.

Hatteras, Altamont i Bell udali się do prochowni. Przy baterji pozostał sam tylko doktor.

Niebawem zdala doszedł okrzyk sternika.

— Baczność!

— W porządku! zawołał doktor.

Johnson pociągnął za sznur i pobiegł zobaczyć, co się dzieje.

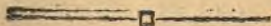
Powłoka lodowa osunęła się i ukazało się na zewnątrz ciało lisa, na które niebawem rzuciły się niedźwiedzie.

— Ognia! zawołał Johnson.

Doktor bez zwłoki puścił prąd elektryczny, nastąpiła straszna eksplozja, dom zatrzęsł się, ściany popękały. Wszyscy wybiegli z bronią gotową do strzału.

Broń jednak, okazała się zbyt czerzną, cztery niedźwiedzie, poszarpane przez wybuch, leżały tu i owdzie, piąty zaś raniony, ratował się ucieczką.

— Hura! hura! hura! wołali towarzysze doktora, chwytając go w objęcia.



XIV.

Wiosna pod biegunem.

Pozbywszy się tym sposobem oblegających ich nieprzyjaciół, byli więźniowie serdecznie dziękowali doktorowi za wybawienie ich z niebezpieczeństwa.

Cały następny dzień, przeszedł naszym podróżnym na usuwaniu śladów eksplozji i na reperacji domku, naruszonego przez wybuch oraz na usuwaniu brył lodu nagromadzonych przez zwierzęta.

Dnia następnego, wskutek zmiany kierunku wiatru, temperatura podniosła się do 9 stopni zimna. Ta duża różnica w temperaturze znakomicie oddziaływała na całą gromadkę, była ona równocześnie zapowiedzią zbliżającej się wiosny podbiegunowej.

Ocieplanie się temperatury trwało przez kilka dni; termometr wskazywał tylko jeden stopień zimna. Coraz liczniej ukazywały się pierwsze zwiastuny zbliżającej się odwilży, aż w końcu po kilku dniach spadł obfity deszcz.

Wreszcie poczęły pękać lody, w niektórych zaś miejscach zaczęły wytryskiwać strugi słonej wody.

Po nad polem śniegowem roztaczała się gęsta para, znamionująca blizkie topnienie śniegów.

Tarcza słoneczna zarysowywała się coraz wyraźniej i opisywała nad horyzontem coraz większe koło. Noc trwała niespełna trzy godziny.

Również niemniej znamienym dowodem zbliżania się wiosny, był powrót całych stad kuropatw, gęsi podbiegunowych i innego ptactwa.

Na wybrzeżu zatoki ukazały się zające oraz myszy.

Jednocześnie pojawiły się wrogowie tych niewinnych zwierząt, wilki i lisy, szukające zdobyczy, wśród nocy rozlegały się też coraz częściej ich wycia.

Wilki podbiegunowe podobne są do naszych psów, czekają zupełnie podobnie do nich, tak, że najwprawniejsze ucho samych psów, omylić zdoła.

Niektórzy twierdzą, że zwierzęta te, używają tego wybiegu, aby zwabić psy i pożerać je.

W ciągu czternastu dni polowano i zebrano znaczne zapasy mięsa.

Wiosna stawała się coraz widoczniejszą, termometr wskazywał zero, w wąwozach porczywały szumieć potoki, a na spadkach powstawały wodospady.

Doktór oczyścił morgę ziemi i obsiał ją rzeżuchą, szczawiem i warzęchą, które są wybornem lekarstwem przeciw skorbutowi. Drobne listki zaczęły powoli kiełkować, gdy wewnej nocy termometr, przy silnym wietrze północnym, spadł do 22 stopni zimna.

Wszystko ponownie zamarzło. Ptaki i czworonogie znikły, otwory fok zamknęły się, lód odzyskał nazad twardość granitu, kaskady i potoki zamarzły.

Zadziwiająca zmiana widoku nastąpiła w nocy z 11 na 12 maja.

— O naturo północy! wołał rozgoryczony doktor, oto jedna z twoich plag! Będę zmuszony siać ponownie.

Hatteras rzecz tę przyjął mniej filozoficznie, gdyż pilno mu było zająć się poszukiwaniami, musiał się jednak pogodzić z koniecznością.

Johnson zapytywał często doktora o długość tego zimna, objaśnił on sternika, że to są zazwyczaj ostatnie jego wysiłki.

Wobec tego ponownego zimna musiano zaniechać polowania. Zwierzyna skryła się niewiadomo gdzie, zresztą zapasy świeżego mięsa były znaczne i starczyć mogły na czas długi.

W czasie tej ponownej bezczynności doktor postanowił rozmówić się z Hatterasem, co do dalszej podróży na północ, którą ~~on~~

ostatni chciałby odbyć bez użycia materiałów z rozbitego okrętu.

Nie łatwo było doktorowi poruszyć tą sprawę, a jednak koniecznem było omówienie jej gruntownie. Zbliżał się bowiem czerwiec, to jest pora do odbycia tej wycieczki.

Pewnego dnia doktor wzięwszy na stronę Hatterasa rzekł do niego:

— Hatterasie, czy uważasz mnie za swego przyjaciela?

— Naturalnie, za najlepszego i być może jedynego.

— A gdybym ci dał pewną radę, czy mi uwierzysz, że będzie ona bezinteresowną?

— Uwierzę, znam cię i wiem, że nigdy nie powodujesz się względami osobistemi.

— Pozwól mi jeszcze zadać jedno pytanie, Hatterasie. Czy uważasz mnie za tak dobrego Anglika, jakim sam jesteś?

Hatteras spoglądał na doktora zdziwiony.

— Tak jest, odpowiedział kapitan, patrząc badawczo na swego przyjaciela.

— Zamierzasz więc dotrzeć do bieguna północnego, lecz aby osiągnąć ten cel, trzeba robić wszystko to, co jest w tym względzie koniecznem.

— Wszak poświęciłem dotąd wszystko dla dopięcia tego celu.

Hatterasie, nie poświęciłeś osobistych przedzeń i jeszcze teraz widzę, że od-

rzucasz jedyne możliwe środki dostania się do bieguna.

— Aha! przerwał Hatteras, zapewne chcesz mówić o tej szalupie, o tym człowieku?...

— Hatterasie mówmy spokojnie, bez uniesienia i rozpatrzmy rzecz dokładnie. Wybrzeże, na którym zimowaliśmy, nie ciągnie się zapewne bez przerwy; nie mamy na to dowodu, że ciągnie się ono na przestrzeni 6 stopni do bieguna, gdyby podania, któremi dotąd kierowaliśmy się, sprawdziły się, to podczas lata napotkamy przestrzeń wody, oczyszczonej z lodów. A gdy staniemy przed owym, wolnym od lodu podbiegunowym oceanem, co pocniemy nie mając się czem przepawić?

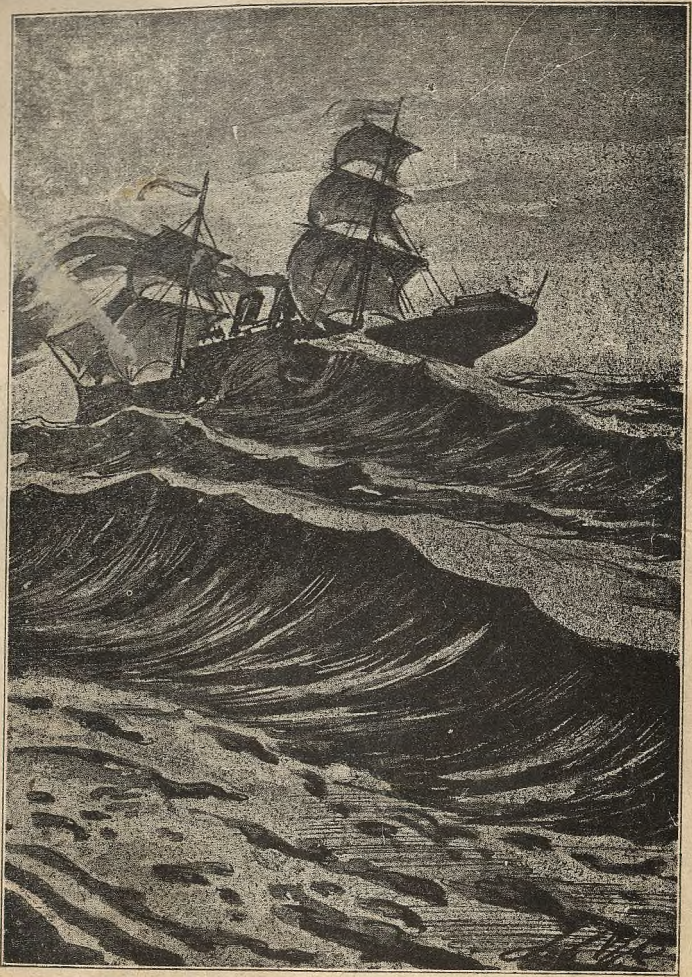
Hatteras milczał.

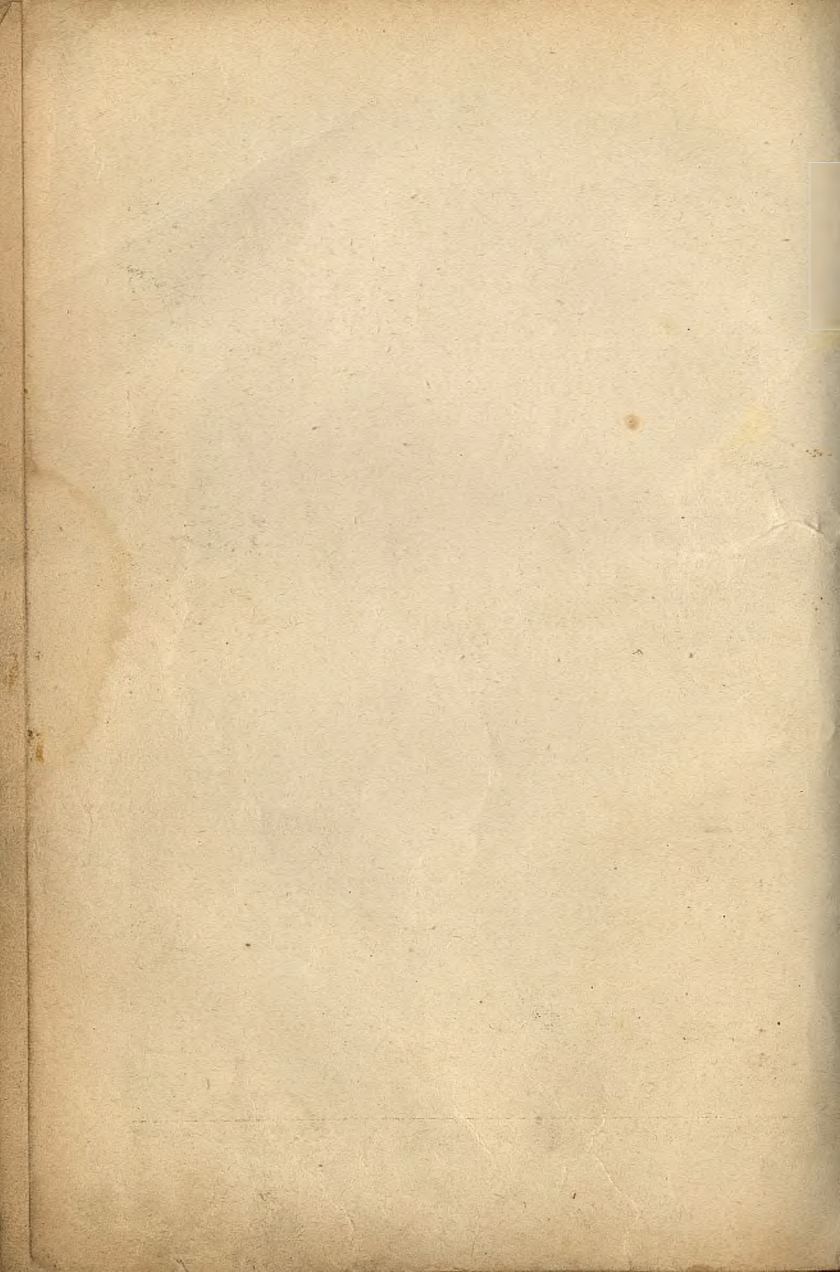
— Czy będzie ci przyjemnem znajdować się zaledwie o kilka mil o bieguna i nie móc się doń dostać?

Kapitan spuścił głowę i milczał.

— A teraz rozpatrzmy te kwestje ze stanowiska etycznego. Rozumiem, że Anglik może poświęcić swój majątek a nawet swój byt, aby dla Anglii zdobyć nowy listek wawrzynu. Lecz gdy do budowy szalupy trzeba użyć koniecznie desek ze statku amerykańskiego, czyż to może zmniejszyć zasługi odkrycia?

A gdybyś znalazł tu sam opuszczony statek, czy zawahałbyś się wówczas posługiwać





się nimi? Czyż nie dowódcy wyprawy należą się jedynie rezultaty powodzenia? Jeszcze raz pytam, czyż ta szalupa, zbudowana przez czterech anglików i obsadzona przez tychże anglików nie będzie angielską od pokładu aż do szczytu masztów!

Hatteras milczał.

— Nie, mówił dalej doktor, mówmy szczerze, nie o szalupę ci chodzi, lecz o tego człowieka.

— Tak, doktorze tak, odpowiedział kapitan ten amerykańcin, który w sercu mojem na nowo rozbudził nienawiść anglika, ten człowiek, którego losy rzuciły wpoprzek mojej drogi!..

— Aby cię ocalić!

— Nie, aby mnie zgubić! Zdaje mi się, iż mnie lekceważy, że postępuje wobec nas, jako nasz pan i mistrz, że wmawia sobie, iż ma losy moje w swym ręku i odgaduje moje zamiary.

Czyż nie zdradził się już wówczas, gdy cho-
dziło o nazwy dla tych nowych lądów!

Czyż przyznał się do tego, co szukał pod tym stopniem szerokości!

Nie wytłomaczysz mi myśli, która mnie dręczy, iż jest on dowódcą wyprawy, wysłanej przez rząd Stanów, celem nowych odkryć.

— A gdyby tak nawet było, któż dowiedzie, że ekspedycja jego ma na celu odkrycie bieguny północnego?

Czyż nie może Ameryka również jak Anglia poszukiwać przejścia północno - zachodniego?

W każdym razie Altamont nie zna zupełnie zamiarów twoich, nie mówili mu o nich ani Johnson, ani Bell, ani ja, ani też ty.

— A więc dobrze, niechże ich nigdy nie pozna!

— To się nie uda, gdyż nie możemy go przecież samego zostawić.

— Dlaczegożby nie, pytał Hatteras gwałtownie, czy nie może nadal pozostać w szańcu Opatrzności?

— Na to on się nie zgodzi, Hatterasie. Zresztą czyż możemy tu pozostawić tego człowieka, którego znalezienie podczas drogi powrotnej jest wątpliwe, byłoby to czynem nieludzkim.

Altamont pójdzie z nami!

Byłoby jednak zbyt czynnem naprowadzanie go na myśl, której dotąd nie zna.

Nie będziemy wtajemniczali go w cel, dla jakiego budujemy szalupę. Niechaj myśli on, że celem naszym, tak jak i jego, jest zbadać wybrzeży.

Wreszcie myśleć może co mu się podoba, my zaś dążyć będziemy do naszego celu.

Hatteras ciągle milczał.

Clawbonny w dalszym ciągu przekonywał kapitana o konieczności budowy szalupy z resztek statku amerykańskiego.

Hatteras namyślał się w dalszym ciągu, nie dając żadnej odpowiedzi.

— A gdyby ten człowiek nie pozwolił na użycie szczątków swego okrętu? zapytał wreszcie Hatteras.

— W takim razie prawo byłoby po twojej stronie. Mógłbyś, pomimo jego oporu, zbudować szalupę, do której on nie mógłby rościć pretensji.

— Daj Boże, aby odmówił!

— Przedtem jednak trzeba go zapytać i ja się tego podejmuję.

Tego samego wieczoru podczas kolacji, Clawbonny naprowadził rozmowę na zamiary wycieczek podczas letnich miesięcy.

— Myślę, że pan się do nas przyłączy, panie Altamont?

— Z pewnością, musimy przecież dowiedzieć się, jak daleko rozciąga się ten ląd.

Gdy amerykańnin to mówił Hatteras przyglądał mu się bacznie.

— W tym celu z resztek okrętu zbudujemy mocną szalupę, zdatną do dalekiej podróży.

— Słyszysz Bellu, od jutra zabieramy się do roboty.



Przejście północno zachodnie.

Następnego dnia Altamoni, Bell i doktor udali się na wybrzeże celem obejrzenia resztek pozostałych z „Porpoise” aby zbadać co się da wybrać do budowy szalupy.

Główne części starej szalupy dawały się jeszcze użyć, całość jednak była nie do użycia, trzeba więc było zbudować nową, lekką, którą można by było transportować na saniach.

Cieśla zabrał się natychmiast do roboty.

W końcu maja temperatura podniosła się do zera. Wiosna na dobre zbliżała się, poróżni zdjąć mogli ubrania zimowe. Deszcz padał coraz częściej, śnieg topniał, potworzyło się mnóstwo strumyków i wodospadów.

Hatteras nie ukrywał swego zadowolenia, wolne bowiem morze było i dla niego wolnością!

Zastanawiał się on czy poprzednicy jego mylili się, przewidując istnienie pod biegunem, wolnego od lodów morza, czy nie?

Miał nadzieję teraz przekonać się o tem:

a od stwierdzenia tego zależało udanie się jego przedsięwzięcia.

Pewnego wieczora kapitan skierował rozmowę na ten przedmiot i przytoczył wszelkie dane, przemawiające na korzyść tego twierdzenia.

— Widocznem jest, mówił on, że kiedy ocean pozbywa się swoich lodów przed zatoką Wiktorja, to część północna jego, aż do nowej Kornwalii musi być także wolna od lodów, aż do kanału Królowej.

— Ja też byłem tego zdania, zauważył Altamont.

Istotnie, można tak mniemać, potwierdził Hatteras.

— Można być nawet tego pewnym, rzekł amerykańcin, to samo bowiem wolne morze, które widzieli Penny i Belcher w bliskości wybrzeża Grunella, widział i Morton, porucznik Kane'go, z cieśniny noszącej nazwę tego odważnego uczonego.

— Nie znajdujemy się na morzu Kane'go a zatem nie możemy tego stwierdzić, powiedział Hatteras.

— Co najmniej jest to prawdopodobne, rzekł Altamont.

— Zapewne, wtrącił doktor, pragnąc załagodzić sprawę, muszę was tutaj objaśnić, że przypuszczenie Altamonta ma też pewne zasady słuszności, gdyż lądy pod temi same-

ni szerokościami posiadają te same ukształtowanie.

Osobiście wierzę w wolne morze tak na wschodzie, jak i zachodzie.

— Dla nas niema to znaczenia, rzekł Hatteras.

— Nie powiem tego, odpowiedział Altamont, mogło by to i dla nas mieć pewne znaczenie.

— W jakim razie?

— Gdy pomyślimy o powrocie.

— A któż o nim myśli?

— Chwilowo nikt, ale przecież w pewnym miejscu, kiedyś zatrzymamy się.

— A gdzie to miejsce? pytał Hatteras.

— Po raz pierwszy pytanie to postawione zostało wprost amerykańnowi.

Altamont nie odpowiadał, kapitan powtórzył pytanie.

— Tam, dokąd dążymy, odpowiedział amerykańkanin.

— A któż to wie, wtrącił uspakajająco doktor.

— Utrzymuję jednak, mówił amerykańkanin, że o ile wracać będziemy przez morze podbiegunowe, będziemy zmuszeni spróbować dostać się na morze Kane'go, które nas zbliży do zatoki Baffińskiej.

— Tak pan sądzi? pytał ironicznie kapitan.

— Tak sądze, i przekonany jestem, że je-

żeli kiedykolwiek morza północne będą otwarte dla żeglugi, wszyscy drogą tą dążyć będą, gdyż przedstawia ona najmniej trudności. O, odkrycie doktora Kane jest bardzo doniosłym!

— Wistocie, rzekł Hatteras, aż do krwi gryząc sobie wargi.

— Tak, nie można temu zaprzeczyć, dodał doktor, i należy zasługi każdego sprawiedliwie oceniać.

— Tembardziej, mówił dalej uparty amerykańkanin, że przed nim nikt tak daleko nie posunął się na północ.

— Zdaje mi się, odpowiedział Hatteras, że Anglicy są obecnie jeszcze dalej.

— I Amerykanie, dodał Altamont.

— Amerykanie? zawołał Hatteras.

— Tak bo kim ja jestem? pytał, dumnie Altamont.

— Pan jesteś, odpowiedział Hatteras, za ledwie wstrzymujący się od wybuchu, człowiekiem, który przypadkowi i wiedzy równy chce dać udział w sławie.

Wasz kapitan amerykański daleko wprawdzie dotarł na północ, ale przypadek...

— Przypadek! pan śmiesz twierdzić, że Kane zrobił wielkie odkrycie, nie dzięki swej energii i nauce?

— Twierdzę, że nazwiska Kanne'go nie godzi się wymieniać w kraju słynnym z odkryć

takich ludzi, jak Parry, Franklin, Ross Belcher i Penny lub Mac Clure, który znał przeście północno-zachodnie.

— Mac Clure, zawołał amerykańnin, przytaczasz pan nazwisko tego człowieka, a odmawiasz przypadkowi wszelkiego udziału w sławie odkryć. Czyż to nie tylko przypadek go tam zaprowadził?

— Nie, odpowiedział rozgniewany Hatteras stanowczo nie! Raczej jego odwaga i wytrwałość, z jaką przepędził cztery zimy wśród lodów...

— Temu wierzę, dorzucił Amerykanin, lody zamknęły mu drogę, nie mógł ruszyć dalej i opuścił nareszcie swój okręt, celem powrotu do Anglii.

— Moi przyjaciele... odezwał się doktor.

— Wreszcie przestaśmy mówić o osobach a rozpatrzmy rezultaty, mówił Altamont. Pan mówi o przejściu północno zachodnim, przejście to trzeba przede wszystkim odnaleźć!

Hatteras, usłyszawszy te słowa, podskoczył nieomal do góry; nigdy jeszcze kwestja sporna nie była poruszana z taką namiętnością pomiędzy dwoma narodowościami, współzawodniczącymi ze sobą.

Doktor starał się ciągle wynaleźć sposób pośredniczenia.

— Nie masz pan słuszności panie Altamont! rzekł on.

— Mam! utrzymuję moje twierdzenie w całości, odpowiedział amerykańnin, przejście północno - zachodnie jeszcze nie jest wynalezione, ani nie przebyte, jeśli tak wolicie! MacClure nie dotarł do niego i do dnia dzisiejszego żaden jeszcze okręt nie przebył drogi Behringa do zatoki Baffińskiej.

Twierdzeniu amerykańnina w zasadzie nic zarzucić nie było można.

Jednakże Hatteras powstał i rzekł:

— Nie mogę znieść, aby w mojej obecności napadano na sławę angielskiego kapita-
na.

— Nie możesz pan znieść! odpowiedział amerykańnin, który również powstał, ale fakty świadczą po temu i zaprzeczyć im nie potrafisz!

— Mój panie! zawołał Hatteras, błąd z gniewu.

— Ależ, przyjaciele, wtrącił się doktor, trochę zimnej krwi! Przecież rozważamy tu kwestję naukową!

— Pomówimy jeszcze o tych faktach, zawołał groźnie Hatteras, który nie słuchał już żadnych uwag.

— I ja także sobie tego nie odmówię, odparł amerykańnin.

Johnson i Bell nie wiedzieli, jakie zająć wobec tej sprzeczki stanowisko.

— Moi panowie, rzekł doktor z naciskiem

pozwólcie, abym i ja w tej sprawie coś powiedział. Fakty, o których mowa, znam tak dobrze jak i wy, a może i lepiej, a przyznacie, że potrafię je bezstronnie przedstawić.

— Tak, tak zawołali Bell i Johnson, którzy, zaniepokojeni obrotem tej sprzeczki, zamierzali przyłączeniem się do doktora nadać ważności jego słowom.

— Zacznij tylko mówić, panie Clawbonny, rzekł Johnson, ci panowie będą cię słuchali, a my się czegoś nauczymy.

— Mów! rzekł amerykanin.

Hatteras dał znak, że się zgadza i zajął znów swoje miejsce, skrzyżowawszy ręce na pierśsiach.

— Przedstawię wam fakty w świetle istotnej prawdy, a wy, moi przyjaciele, możecie prostować, jeżeli ominę lub przekręcę szczegół jakiś.

Tutaj macie kartę morską podbiegunowych w ten sposób możemy śledzić drogę Mac-Clure'a. Jak wam wiadomo, w roku 1848, dwa okręty: „Herald” pod kapitanem Kellet i „Plower” pod kapitanem Moore, wysłane zostały do cieśniny Behringa celem odnalezienia śladów Franklina; poszukiwania ich były bezowocne. W 1850 r. przyłączył się do nich Mac-Clure, dowódca „Investigatora”, towarzyszył mu kapitan Collinson, dowódca „Enterprise”, lecz dotarłszy do cieśniny Behringa

wyprzedził go „nie chcąc dłużej czekać i postanowił na własną odpowiedzialność, — uważaj pan, panie Altamont — albo odnaleźć Franklina, albo przejście.

Dnia 5 sierpnia 1850 roku dotarł on do wschodniego morza, po mało znanej drodze, 30 tegoż miesiąca do przylądka Bathurst, 6 września odkrył ląd Behringa, później ziemię księcia Alberta.

Następnie skierował się do owej długiej cieśniny morskiej, oddzielającej te dwie potężne wyspy, którym nadano nazwę „Cieśnina księcia Walii”

Proszę, postępujcie myślą za śladami tego odważnego żeglarza. Miał on nadzieję wpłynąć do basenu Melville, przez który myśmy przebyli, ale przy wyjściu z cieśniny morskiej zagroziły mu drogę lody.

Zatrzymany w ten sposób Mac-Clure przepędził tam zimę 1851 i w tym czasie zrobił wycieczkę po lodzie, celem przekonania się o komunikacji między cieśniną morską a basenem Melville.

— Tak, ale drogi tej nie przebył, zauważył Altamont.

— Cierpliwości, odpowiedział doktor. Podczas tego zimowania oficerowie Mac-Clure'a zwiedzali sąsiednie wybrzeża.

W lipcu, z pierwszą odwilżą, próbuje or worowadzić swój statek do basenu Melville

zbliża się doń na odległość 20 mil, tylko 20 mii! ale burze gnają go ku południowi.

Decyduje się więc powrócić przez cieśninę księcia Walii, okrążyć kraj Banksa i dotrzeć do upragnionego miejsca od strony zachodniej.

Wraca zatem, i 18 przybywa do przylądka Kellet, 20 do przylądka księcia Alfreda, ale później, po strasznych walkach z górami lodowymi, zostaje zatrzymany w przejściu Banksa, przy wejściu do cieśnin, prowadzących do morza Baffińskiego.

— Lecz nie mógł przejechać, rzekł Altamont.

— Zaczekaj pan chwilkę i miej cierpliwość.

Mac-Clure miał zapas żywności, wystarczający tylko na 18 miesięcy, a pomimo to nie myśli o powrocie.

Odjeżdża na saniach, przebywa cieśninę Banksa i przybywa na wyspę Melville.

Na wybrzeżu tej wyspy miał on nadzieję spotkać okręty dowódcy Austina, które miały doń przybyć przez zatokę Baffińską i cieśninę Lancaster.

Dnia 28 kwietnia, przybywa do Winter-Harbour, miejsca gdzie przed 33 laty przezimował Parry. Okrętów jednak nie spotkał, znalazł za to dokument, z którego dowiedział się, że Mac-Clinton, porucznik Austina, przejechał tędy zeszłego roku.

Każdy inny, skutkiem takiego zawodu podałby się rozpacz, Mac - Clure jednak nie tracił odwagi i w tej samej kairnie umieścił drugi dokument z oznajmieniem zamiaru powrotu do Anglii przez północno - zachodnie przejście, które odnalazł.

Jeżeli potem nie słyszano już o nim, pochodzi to stąd, iż został zapędzonym, czy to na północ, czy też na zachód od wyspy Melville; przybywa jednak do zatoki Mercy, celem trzeciego przezimowania, w 1852 na 1853 rok.

— O odwadze jego nigdy nie wątpiłem, zaznaczył Altamont, tylko o powodzeniu.

— Idźmy za nim dalej, mówił doktor. Gdy w połowie marca, wskutek bardzo ostrej zimy, a stąd zupełnego braku zwierzyny, musiano zmniejszyć do dwóch trzecich części zwykłą rację, Mac - Clure postanowił połowę osady wysłać z powrotem do Anglii, bądź przez zatokę Bałfińską, bądź przez rzekę Mackenzie i zatokę Hudsonską; druga połowa miała „Investigatora“ odprowadzić do Europy.

Wybrał ludzi mniej zdrowych, którym zaszkodziłoby mogło czwarte przezimowanie.

Wszystko przygotowane już było do odjazdu, który nastąpić miał 15 Kwietnia.

W dniu 6 Mac-Clure przechadzając się z porucznikiem Croswellem, spostrzegł biegną-

cego od strony północnej człowieka, dającego znaki rękoma.

Człowiekiem tym był porucznik Pim z okrętu „Herald”, porucznik kapitana Kelleta, którego, jak poprzednio zaznaczyłem, pozostawił przed dwoma laty na drodze Behringa.

Kellet, przybywszy do Winter-Herbour, znalazł dokument Mac-Clure'a, a dowiedziawszy się, że przebywa w zatoce Mercy, wysłał doń Pima.

Z porucznikiem przybył oddział marynarzy a wśród nich frauczuz Bray, służący w charakterze ochotnika sztabu Kelleta.

— Temu spotkaniu się naszych rodaków nie zaprzeczy pan?

— Bynajmniej, odpowiedział Altamont.

— A więc dobrze, zobaczmy teraz co się później stało i czy odkryto przejście północno zachodnie?

Zechciej zwrócić uwagę na to, że jeśli odkrycie kapitana Parry'ego uzupełnimy odkryciami Mac-Clure'a, to przekonamy się, iż północne wybrzeża Ameryki zostały opłynięte.

— Ale tego nie zrobił żaden okręt, odpowiedział Altamont.

— Tak, ale jeden człowiek. Idźmy dalej Mac-Clure odwiedził kapitana Kelleta na wyspie Melville; w ciągu dni 12 przebył 170 mil!

dzielące zatokę Mercy od Winter - Harbour. Umówił się z dowódcą „Heralda“, że mu przyśle swych chorych i powrócił do swego okrętu. Inni na miejscu Mac - Clure'a sądziłiby, że zadanie swoje wypełnili, ale ten nieustraszony młodzieniec chciał jeszcze raz spróbować szczęścia. Wtedy, i na to właśnie szczególną waszą zwracam uwagę, opuścił go porucznik Croswell, który towarzyszył chorym.

Wyszedł on z zatoki Mercy, dostał się do Winter-Harbour, a stamtąd, po 470 milowej podróży saniami, przybył 2 czerwca na wyspę Beechey, a w kilka dni później z 12 ludźmi wsiadł na okręt „Phenix”

— Na którym i ja wówczas służyłem, dodał Johnson.

— I w dniu 7 października 1853 roku, mówił dalej doktor, przybył Croswell do Londynu, przebywszy całą przestrzeń pomiędzy drogą Behringa i przylądkiem Farevell.

— A zatem, rzekł Hatteras, jeśli się przybywa jedną stroną, a wypływa drugą, czy to się nazywa, że „przeszedł?”

— Tak, odpowiedział Altamont, przeszedłszy 470 mil po lodzie.

— I cóż to znaczy?

— Właśnie na tem polega rzecz cała, odpowiedział Amerykanin. Czy okręt Mac-Clure'a przebył tę drogę?

— Nie, odpowiedział doktor, po czwartym przezimowaniu musiał go Mac - Clure pozostawić wśród lodów.

— W podróżach morskich pewną drogę przebywa okręt, a nie człowiek. Jeśli kiedykolwiek przejście północno - zachodnie będzie można przebyć, to tylko na okrętach, a nie na saniach. Okręt zatem musi odbyć tę podróż, a w braku tegoż szalupa

— Szalupa! zawołał Hatteras, który przenikał z tych słów myśl amerykańczyka.

— Altamontcie, mówił doktor, w tym względzie nikt z nas słuszności przyznać ci nie może.

— O to u was nie trudno, moi panowie, jesteście czterej przeciw jednemu. Nie przeszkadza mi to jednak zachować moje zdanie.

— Zachowaj je pan sobie, tylko tak abyśmy więcej o niem nie słyszeli.

— Jakiem prawem przemawiasz pan do mnie tym tonem?

— Prawem kapitana.

— A czy ja jestem pod pańskimi rozkazami?

— Bezwątpienia! I biada ci, jeśli...

Doktor, Johnson i Bell wdali się pomiędzy nich, a czas był po temu największy nieprzyjaciele mierzyli się wzrokiem.

Doktorowi serce ścisnęło się.

Po kilku pojednawczych słowach, Altamont

położył się na posłanie, gwizdząc amerykańską piosnkę narodową.

Hatteras wyszedł na powietrze i długo spacerował około domku, dopiero po upływie godziny powrócił i niezadługo udał się na spoczynek.



XVI.

Raj polarny.

W dniu 29 maja słońce po raz pierwszy nie zaszło; jego tarcza ze ledwie dotknęła horyzontu i niezadługo podniosła się znowu, rozpoczął się okres dni trwających 24 godzin.

Równocześnie ukazały się stada rozmaitych ptaków, jak dropiów, gęsi kanadyjskich, które nadleciały z Florydy i Arkanzasu, niosąc wiosnę.

Śnieg, pod wpływem promieni słonecznych topniał szybko. Doktor zajął się ponownem uprawianiem ziemi a po upływie 3 tygodni rzeżucha miała drobne listki, prawie na całą długość. Wrzosa zaczęły wychylać swe blade różowe kwiatki.

Cała ta roślinność, pomimo swego ubóstwa, znacznie wpłynęła na zmianę i ożywienie krajobrazu.

W dniu 15 czerwca doktor zauważył znaczne podniesienie się temperatury i ze zdumieniem spostrzegł na termometrze 14 st. ciepła.

Widok okolicy zmieniał się w oczach, szumiące wodospady toczyły się z g. r.

Lody poczynaly się rozstępować. tym sposobem kwestja, dotycząca oczyszczonego z lodów morza, miała się niebawem w zupełności rozstrzygnąć.

Dom lodowy topniał powoli, trzeba było ciągle go reperować.

Temperatura nie długo jednak utrzymała się na tym poziomie.

Około połowy czerwca budowa szalupy była tak daleko posunięta, że niezadługo należało oczekiwać jej ukończenia.

Podczas gdy Bell i Johnson zajęci byli budową szalupy, pozostali podróżni urządzili szereg polowań, których wynikiem było zabicie pary reniferów, niezwykle trudnych do podejścia.

Nie widziano jednak nigdzie piźmowców, których Parry licznie napotykał na wyspie Melville; postanowiono więc zrobić dalszą wycieczkę w celu ich odnalezienia.

Trzej myśliwi, uzbrojeni w dubeltówki, łopory i noża, wyruszyli rano, zabrawszy ze

sobą Duka i zapas prowiantów na kilka dni. W ciągu 2 godzin myśliwi zrobili około 7-iu mil, nie napotkawszy żadnej zwierzyny. Około 10 zrobiono odpoczynek celem posilenia się, poczem ruszono dalej.

Okolica przedstawiała płaszczyznę pozbawioną roślinności.

— Nie szczęści się nam dziś, mówił Altamont do doktora.

— Nie traćmy jednak nadziei, dopiero mamy początek lata a jeśli Parry spotkał piz-mowce na wyspie Melville, to i my je spo-tkamy.

— My jednak znajdujemy się więcej na pół-noc, zauważył Hatteras.

— Wyglądamy raczej na podróźnych niż na myśliwych, mówił wzdychając Altamont.

— Cierpliwości! rzekł doktor, okolica po-czyna zmieniać swój wygląd i dziwiłbym się bardzo gdybyśmy w tych nizinach, w których poczyna się już ukazywać roślinność, nie spo-tkali zwierzyny.

— Przypuszczać trzeba, że okolica ta nie możliwą by była do zamieszkania, mówił Al-tamont,

— Ja ze swej strony, dowodził doktor, są-dzę, że niema kraju któryby kosztem pracy i nauki, nie można uczynić mieszkalnym.

— Czy w dolinie, którą widać ztąd do-kładnie, mówił doktor, nie mogłoby osiąść

kilku przedsiębiorczych kolonistów? Zdaje mi się nawet, że spostrzegam czworonogich mieszkańców tego kraju.

— Istotnie, mówił Altamont, gotując się do strzału, są to zające podbiegunowe.

— Czekaj! zawołał doktor, nie strzelaj, one same do nas przyjdą.

W istocie zbliżały się 3 młode zające skacząc pomiędzy karłowatemi krzewami, ku naszemu myśliwym, których zdawały się zupełnie nie obawiać i w końcu znalazły się u nóg doktora, który je pogłaskał i rzekł:

— Po co strzelać do stworzeń, które zbliżają się do nas z zaufaniem?

— Darujmy im więc życie, powiedział Hatteras,

— A tym kuropatwom, lecącym do nas? Tym czaplom, dumnie kroczącym na wysokich nogach?

Stado pierzastych stworzeń przybliżyło się do myśliwych bez obawy.

Był to dziwny i wzruszający widok; zwierzęta zdawały się czynić wszystko aby jak najgościnniej przyjąć ludzi.

Myśliwi posuwali się brzegiem strumienia a gdy wyszli z doliny, spostrzegli stado reniferów, gryzących mech, wydobywający się z pod śniegu.

Myśliwi znaleźli się w pośrodku stada, zwierzęta nie uciekały. Doktor z trudnością

mógł powstrzymać Altamonta od strzału, co mu się wreszcie udało.

— Powiedzcie mi wreszcie, czy nie przyszliśmy tutaj na polowanie? pytał amerykańnin doktora.

— Tak jest, polować jednak mieliśmy ~~nie~~ ~~pr~~ ~~z~~ ~~m~~ ~~o~~ ~~w~~ ~~o~~ ~~w~~ ~~c~~ ~~e~~, mięsa mamy poddostatkiem, potrzebujemy lepiej na te zwierzęta, podchodzące do nas bez bojaźni.

— Dowodzi to, że dotąd nie widziały one człowieka.

— Zapewne, i z tego wnosić można o ich pochodzeniu; przekonany jestem, że nie pochodzą one z Ameryki

— A to czemu?

— Gdyby tam zrodzone były, wiedziałyby z pewnością, co sądzić o człowieku. Przybyły one zapewne z północnych krańców Azji, nietkniętych stopą człowieka.

— Myśliwy nie zwraca jednak uwagi na takie rzeczy, mówił amerykańnin.

Na podobnych rozmowach zeszedł myśliwym cały ten dzień, który spędzili w dolinie.

Do snu ulokowano się w wydrążeniu skały, jakby umyślnie dla nich wykutem



XVII.

Zemsta Altamonta.

Nazajutrz pogoda była równie piękna jak dnia poprzedniego, postanowiono więc dzień poświęcić na zbadanie okolicy i odszukanie piźmowców. Trzeba było nareszcie dać Altamontowi sposobność do polowania.

Podczas rannych godzin nie zaszło nic godnego uwagi.

Około południa Duk natknął się na ślady piźmowców i szybko poskoczył naprzód, głośno szczekając.

Myśliwi pospiesznie udali się za psem i po upływie godziny napotkali parę piźmowców.

Średniego wzrostu, zwierzęta te, wyróżniają się jak gdyby brakiem pyska oraz krótkim ogonem i dla tego przyrodnicy nazwali je „Owibos“ t. j. połączenie wołu z owcą; skórę ich pokrywał długi jedwabisty włos, koloru brązowego.

Ujrzawszy myśliwych, zwierzęta ratowały się ucieczką, popędzono za nimi, lecz po półgodzinnym pościgu zmęczeni myśliwi musieli zatrzymać się.

a do licha! zawołał Altamont.

— O! to właściwe słowo, rzekł zadyszany doktor, tobie jako Amerykaninowi pozostawiam te zwierzęta, które nie mają widać zbyt pochlebnej opinii o swych rodakach jeżeli tak od nich uciekają.

— Muszą wiedzieć, że jesteśmy dobrymi strzelcami.

Tymczasem pismowce, widząc, że nie są prześladowane, zatrzymały się.

Myśliwi postanowili otoczyć je i w tym celu wypuścili psa, aby je niepokoił, sami zaś przez wąwóz spuścili się na dół i okrążyli płaszczynę.

Altamont i doktor ukryli się za skałami, a Hatteras stał po drugiej stronie aby na nich pędzić zwierzęta.

Kiedy już zajęli swe miejsca, usłyszeli nagle szczenie psa i zobaczyli zwierzęta pędzące wprost na Hatterasa. Kapitan strzelił i trafił jedno ze zwierząt w czoło, nie cofnęły się jednak one, przeciwnie, rzuciły się na niego. Kapitan wystrzelił po raz drugi, lecz rozwścieczone zwierzęta obaliły go na ziemię.

— Zgubiony! zawołał doktor.

Altamont, widząc to, zrobił krok naprzód, zatrzymał się jednak; walczył widocznie ze swemi uprzedzeniami.

— Nie, byłoby to podłością! zawołał i pobiegł na pole walki razem z doktorem.

Altamonci nie wahał się dłużej nad pół sekundy i jeśli doktor dojrzał, co działo się w duszy amerykańнина, to Hatteras zrozumiał. Zaledwie jednak pomyślał o tem, już amerykańnin był przy nim. Leżąc na ziemi, kapitan starał się odpiierać ciosy, zadawane mu przez zwierzęta; walka ta jednk nie trwałaby długo i ległby on pod ciosami zwierząt.

Naraz padły dwa strzały i jeden z piźmowców, ugodzony w serce, leżał na ziemi, drugi zaś gotował się do zadania śmiertelnego ciosu kapitanowi, gdy przykoczył Altamot i wbił mu w gardziel swój długi nóż, poczem silnym ciosem topora łeb mu rozplątał.

Hatteras był ocalony.

Zawdzięczał on jednak życie człowiekowi, którego nienawidził więcej niż kogokolwiek na świecie!

Hatteras zerwał się zaraz z ziemi, podszedł do amerykańнина i rzekł poważnie:

— Ocaliłeś mi życie, Altamoncie!

— I tyś mi je ocalił kwita więc pomiędzy nami.

— Altamoncie, mówił kapitan, kiedy doktor znalazł cię wśród lodów umierającego, nie wiedziałem kim byłeś, ty zaś wiedząc kim jestem, ocaliłeś mnie, narażając własne życie.

— Jesteś moim bliźnim, a Amerykanin nie jest nikczemnikiem.

— Naturalnie, że nie! zawołał doktor, jest on takim samym człowiekiem, jak ty Hatterasie!

— I niechaj ze mną dzieli chwałę, która przypadnie mi jeszcze w udziale, rzekł kapitan.

— Chwałę dotarcia do bieguna północnego! zauważył Altamont.

— Tak jest, odparł Hatteras.

— A więc zgadłem, zawołał amerykańnin, odważyłeś się zatem na dotarcie do bieguna!

— A ty, zapytał Hatteras, nie miałeś że takiego samego zamiaru?

Altamont zdawał się zwlekać z odpowiedzią.

— No, jakże? — pytał doktor.

— A więc, nie! Nie, nie powzięłem tak wielkiej myśli, która was tutaj przywiodła, zamierzałem tylko przejechać przejście północno - zachodnie, nic więcej!

— Altamencie, rzekł Hatteras. wyciągając rękę do Amerykanina, bądź więc uczestnikiem naszej chwały i chodź z nami odkrywać biegun północny!

I dwaj ci ludzie uścisnęli sobie dłonie serdecznie. Gdy się zwrócili do doktora, spostrzegli, że oczy jego zasły łzami.

— Ach, przyjaciele moi, rzekł on, ocierając oczy, serce moje nie może objąć radości, która ją przepełnia!

Doktor począł sciskać pojednanych wrogów z trudem mógł się on uspokoić i dwaj nowi przyjaciele czuli się jeszcze więcej do siebie zbliżeni przez przyjaźń, jaką im doktor okazywał.

Clawbonny teraz mówił, nie mogąc się powstrzymać, o głupocie współzawodnictwa i o koniecznem współdziałaniu ludzi, znajdujących się daleko od ojczyzny. Jego słowa, jego łzy, wszystko to pochodziło z głębi serca.

Nareszcie uspokoił się dopiero wówczas gdy uściskał Hatterasa i Altamonta z jakie 20 razy.

— A teraz, rzekł on, do dzieła! Ponieważ jako strzelec na nic się nie przydałem, to niechaj mam sposobność wykazania moich zdolności w czem innem.

To rzekłszy, zaczął oprawiać piźmowca, a czynił to tak zręcznie, iż można go było porównać do lekarza - chirurga, robiącego sekcję.

Po kilku minutach operator wyciął około centnara apetycznego mięsa, dzieląc je na trzy równe części, po jednej dla każdego, po czem ruszono z powrotem.

O godzinie 10 wieczorem myśliwi przybyli do Domku doktora, gdzie Johnson i Bell czekali na nich z obfitą wieczerzą.

— Ale zanim zasiądziemy do stołu, zawo-

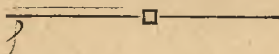
łał doktor, wskazując na dwóch swych towarzyszów:

— Kochany Johnsonie, nieprawdaż, że zabrałem jednego Anglika i jednego Amerykanina?

— Istotnie, panie Clawbonny, odpowiedział sternik.

— A przyprowadzam dwóch braci!

Dwaj żeglarze radośnie uścisnęli dłonie Altamonta. Doktor opowiedział im, co amerykański kapitan zrobił dla angielskiego i tej nocy domek lodowy schronił pięciu szczęśliwych ludzi.



XVIII.

Ostateczne przygotowania

Nazajutrz pogoda uległa zmianie, znów się oziębiło; śnieg, deszcz i zawieja, następowały w ciągu paru dni kolejno po sobie.

Bell ukończył szalupę; odpowiadała ona w zupełności celowi, była lekka i łatwo ją można było transportować na saniach, przez psy ciągnionych. Odjazd naznaczono na 25 czerwca.

20 czerwca, wody tak puściły, że można było wypróbować szalupę, urządzając wycieczkę do przylądka Waszyngtona.

Parogodzinna żegluga przekonała wszystkich o jej dobroci.

Dnia 22 czerwca zaczęto ładować na sanie zapasy żywności, namiot i różne przybory podrózne. Zabrano 200 funtów mięsa solonego, 3 skrzynie konserwów, 50 funtów soku cytrynowego, 380 funtów mąki, pakę rzeżuchy i warzęchy, pochodzących z plantacji doktora, nadto 200 funtów prochu, instrumenty, broń i naczynia kuchenne. Doliczywszy do tego ciężar szalupy i sań, wszystko to razem ważyło około 1800 funtów.

Podróżni postanowili w razie potrzeby pomagać w pracy psom i zamierzali skracaćienne marsze. Odległość od zatoki Wiktorja do bieguna wynosiła najwyżej 155 mil, robiąc zatem po 12 mil dziennie, mogli ją przebyć w pół miesiąca. Zresztą, gdy nie będzie już lądu stałego, pojedą na szalupie bez utrudzenia ludzi i psów.

Wszyscy byli zdrowi; zima choć ostra, zakończyła się dla podróżnych pomyślnie. Nieco tylko schudli wszyscy, ale to nie miało żadnego znaczenia.

XIX.

Na północ,

Nazajutrz Hatteras dał znak do odjazdu; psy, dobrze nakarmione i wypoczęte, zostały do sań zaprzężone. Po zimie spędzonej wygodnie, były one zdolne oddać w lecie ogromne usługi. Nie dały się też długo prosić, stanęły żwawo w zaprzęgu.

Przy pięknej pogodzie wyruszono w drogę o godzinie 6 rano. Po obejściu zatoki i prześci przylądka Waszyngtona, Hatteras i jego towarzysze zwrócili się w kierunku na północ. O godzinie 7 podróżni stracili z oczu szaniec Opatrzności.

Po drugiej stronie przylądka Waszyngtona na zachodnim wybrzeżu Nowej Ameryki, znajdował się szereg zatok, ażeby uniknąć przechodzenia ich, podróżni, przebywszy pierwsze pochyłości góry Bella, skierowali się ku północy. W ten sposób znacznie skracali sobie drogę.

Podróż szła bardzo pomyślnie, na wysokich płaszczyznach, pokrytych grubą warstwą śniegu, sanie posuwały się z łatwością, a

podróźni, mając odpowiednie obuwie, szli pospiesznie.

Termometr wskazywał 3 st. ciepła. Temperatura jednak była zmienna, pomimo to ani mrozy, ani zamiecie nie wstrzymały by podróźnych.

W ciągu dwóch pierwszych dni, robiono po 20 mil w ciągu 12 godzin; resztę czasu poświęcano na posiłek i wypoczynek. Nocowano w namiocie.

Nie zapomniano też o polowaniu, którem zajęli się Altamont i Bell

Dnia 26 czerwca, we środę, podróźni doszli do jeziora kilka mógg długiego, które skutkiem swego położenia, niedopuszczającego promieni słonecznych, było jeszcze zamrożone. Lód był dostatecznie silny, aby utrzymać ciężar ludzi i sań.

Z tego punktu okolica przedstawiała coraz równiejszą płaszczynę. Na zachodzie ginęły we mgle niebieskawe odległe pagórki.

Jak dotąd, podróźni nie czuli zmęczenia, cierpieli tylko na ból oczów, spowodowany łamaniem promieni słonecznych na śniegu. W innej porze roku podróźowaliby po nocy, aby uniknąć tej dolegliwości, obecnie jednak nie było nocy.

Na szczęście śnieg zaczął topnieć, przez co tracić począł swą białość, rażącą wzrok. 28-go termometr wskazywał 7 st. ciepła;

spadł ulewny deszcz, który przyspieszył topnienie śniegów.

29 Bell upolował lisa, a Altamont małego piżmowca.

30 widok okolicy uległ znacznej zmianie. Poczęły ukazywać się nierówności, jak gdyby powstałe wskutek wstrząśnień wulkanicznych.

Zerwał się wicher południowo zachodni i niebawem zmienił się w orkan.

Po burzy nastąpiło powietrze ciepłe, wilgotne, prawdziwa odwilż; ze wszech stron rozlegało się trzeszczenie lodu i szum lawin



XX.

Ślady ludzkie.

W dniu 4 i 5 lipca panowała gęsta mgła. Jerunek na północ z trudem dał się utrzymać, co chwila musiano spoglądać na kompas. Podczas tej ciemności nie zdarzył się żaden wypadek, Bell tylko stracił swoje obuwie śniegowe, które rozdarł, zawiadziwszy o brzeg skały.

W ciągu tych dwóch dni robiono zaledwie po 8 mil dziennie.

Dnia 6 lipca ruszono pospiesznie w drogę, aby odzyskać czas stracony. Altamont i Bell zajęli znów swoje poprzednie miejsca, badając grunt i polując.

Powietrze było jasne i suche i pozwalało widzieć na daleką przestrzeń.

Przewodnicy szli w odległości, około 2 mil od sań. Naraz doktor, który baczna na wszystko zwracał uwagę, był bardzo zdumiony, dojrawszy ich coś pilnie badających na śniegu.

Schylili się potem, badali uważnie grunt i powstali zdumieni. Zdawało się, że Bell chciał iść naprzód, ale Altamont go powstrzymał.

— Co oni tam robią? rzekł doktor do Johnsona.

— Idźmy do nich, rzekł Hatteras, to się zaraz przekonamy.

Johnson popędził psy, które ruszyły pospiesznie.

Po upływie 20 minut, pięciu podróżnych było już razem.

Na śniegu widać było ślady stóp ludzkich tak świeże, jakby pochodziły od wczoraj.

— Zapewne to eskimosi, zauważył Hatteras.

— W samej rzeczy, odpowiedział doktor, to są ślady ich obuwia śniegowego.

— Tak sądzisz?.. zapytał Altamont.

— Jestem tego pewny.

— Ale, ten krok tutaj? pytał Altamont, wskazując na ślady kilkakrotnie się powtarzające.

— Ten krok?

— Czy przypuszczasz, iż jest także śladem eskimosa?

Doktor ze zdumieniem obserwował ślad europejskiego obuwia z gwoździami, których podeszwa i obcasy były głęboko w śniegu odciśnięte; nie ulegało wątpliwości, że tu przechodził jakiś Europejczyk.

— Europejczyk tu? zawołał Hatteras.

— To niemożliwe! rzekł Johnson.

— A jednak, dodał doktor, tak jest w istocie.

Udano się dalej, aby badać te ślady, ciągnęły się one na ćwierć mili, zmieszane z innymi śladami, pochodzącymi od obuwia śniegowego, później zwracały się na zachód.

Doszedłszy do tego miejsca, podróżni zastanawiali się, czy mają iść dalej za tymi śladami.

— Nie, zdecydował Hatteras, idźmy na przód!..

Słowa te przerwał okrzyk doktora, który podniósł ze śniegu przedmiot, jeszcze bardziej przekonywający o pochodzeniu właściciela jego.

Było to szkło od lunety kieszonkowej.

— Teraz, stanowczo już wątpić nie można o obecności w tym kraju jakiegoś europejczyka!..

— Naprzód! zawołał znów Hatteras.

Wyrzekł to słowo tak stanowczym tonem, że wszyscy poszli za nim i sanie, po krótkim przystanku, posunęły się dalej.

Dzień przeszedł i nie zauważono żadnego śladu obecności jakiegoś człowieka w Nowej Ameryce.

Wieczorem zatrzymano się na wypoczynek.

Ze strony północnej powstał silny wiatr, musiano więc dla namiotu wyszukać osłoniętego miejsca w wąwozie.

Groźnie wyglądało niebo, wydłużone chmury szybko przerzynały powietrze, dotykając prawie ziemi, oko zaledwie mogło śledzić za gwałtownym ich biegiem.

Z nadejściem nocy znużeni podróżni usiłowali zasnąć!

Było to jednak niemożliwem, zerwała się straszna burza, szalejąca z niewykłą siłą.

Pod naciskiem huraganu staczały się z hukiem lawiny, deszcz lał strumieniami.

Atmosfera zdawała się być widownią zaciętej walki pomiędzy powietrzem i wodą.

W tym ponurym łoskocie słuch odróżniał szczególne głosy. Słyszać było wyraźnie trzask krótki, jakby pochodzący od łamiącej

się stali wśród przeciągłego huku tej burzy. W chwilach przerw, podróżni udzielali sobie wzajemnie spostrzeżeń.

— Słysząc łoskot, rzekł doktor, jak gdyby góry lodowe uderzały o pola lodowe.

— Tak, potwierdził Altamont, zdaje się, jakby skorupa ziemi zmieniała swe położenie.

Gdybyśmy byli w pobliżu morza, sądziłbym, że to lody pękają.

— Bo i prawda, trudno sobie ten łoskot inaczej tłumaczyć.

— Czy czasami nie przybyliśmy na wybrzeże? zapytał Hatteras.

— To możliwe, odpowiedział doktor, czy słyszycie ten trzask, to wyraźne pęknięcie lodów? Zapewne znajdujemy się w pobliżu oceanu.

Przez ciąg 10 godzin trwał huragan bez przerwy, i skutkiem tego nikt zasnąć nie był w stanie.

Nad ranem uspokoiło się, wicher ustał i można było opuścić namiot, który znakomicie przetrwał burzę.

Doktor, Hatteras i Johnson weszli na pagórek, 300 stóp wysoki, skąd przed ich oczyma roztoczył się zupełnie inny widok. Okolica była wolna od śniegów i lodów.

Lato natępowało tu bezpośrednio po zimie. W dali widać było gęste kłęby pary, unoszące się ku górze.

— Wyziewy te prawdopodobnie wydobywają się z oceanu, rzekł doktor.

— Masz słuszność, tam musi być morze, powiedział kapitan.

— A zatem do sań i maszerujmy do nowego oceanu!

Powrócono więc do sań, zwinięto obóz i za chwilę ruszono w drogę.

Po trzygodzinnym pochodzie, podróżni zatrzymali się na wybrzeżu morskiem.

— Morze! morze! zawołali wszyscy jednocześnie.

— Morze wolne od lodów! dodał Hatteras.

Była wtedy godzina 10 rano.

Hatteras polecił spuścić szalupę na morze i przenieść na nią ładunek sań, które wraz z zaprzęgiem miały być również zabrane.

O godzinie 5 prace te ukończono i szalupa kołysała się w zatoce.

Przystań, w której stała umocowana szalupa, nazwano przystanią Altamonta.

Według obliczeń doktora, przystań ta znajdowała się o trzy stopnie od bieguna północnego.

Od zatoki Wiktorja, podróżni przebyli przeszło 200 mil.

XXI.

Morze wolne od lodów.

Nazajutrz rano Johnson i Bell zajęli się transportowaniem przyrządów obozowych. O godzinie 8 wszystko do drogi było gotowe. W chwili, gdy miano opuszczać to wybrzeże, doktor przypomniał swym towarzyszom odnalezienie owych śladów, wypadek, o którym nie mógł zapomnąć.

Chcąc upewnić się o tem, że nikt przed nimi nie postał na tem wybrzeżu, doktor udał się na leżącą niedaleko, wyniosłość 100 stóp wysoką, skąd mógł dojrzeć cały horyzont południowy.

Przybywszy na szczyt tej wyniosłości, przyłożył lunetę do oczu. Ale jakież było jego zdumienie, gdy nic nie widział nie tylko w dali na płaszczyźnie, ale w około siebie, na odległość kilku kroków. Nie mogąc pojąć, co to znaczy, począł badać ściśle lunetę i okazał się... brak jednego szkła.

— Szkło od lunety! zawołał.

Łatwo zrozumieć, co się działo w umyśle doktora, wydał taki głośny okrzyk, że usłyszeli go mogli towarzysze.

— Cóż się stało? zapytał Johnson.

Zdyszany doktor nie mógł słowa przemówić, po kilku chwilach dopiero rzekł:

— Te ślady!.. te kroki!.. Ci podróżnicy!..

— No cóż, wołał Hatteras, czy jacy cudzoziemcy są tu?

— Nie, nie! odpowiedział doktor, szkło od lunety, moje szkło... I pokazał lunetę bez szkła.

— Ach? zawołał Amerykanin, więc pan zgubiłeś szkło od lunety?

— Tak.

— A ślady stóp ludzkich?

— Były nasze własne, przyjaciele, nasze własne! wołał doktor. Zbłądziliśmy skutkiem mgły, a zrobiwszy duże koło, powróciliśmy do naszych własnych śladów.

— A te ślady trzewików? pytał Hatteras.

— Pochodzą od trzewików Bella który rozdarłszy swoje obuwie śniegowe, przez cały dzień wędrował w trzewikach.

— Zatem w drogę!

Niezadługo każdy zajął swe miejsce w szalupie, która niebawem opuściła przystań Altamonta.

Podróż tą rozpoczęto we środę, dnia 10 lipca, podróżni znajdowali się wtedy zaledwie o 175 mil od bieguna i jeżeli w tym punkcie kuli ziemskiej znajdował się jaki ląd, to to żegluga będzie niedługa.

Wiatr, choć słaby, był jednak pomyślny — temperatura wynosiła 10 stopni powyżej zera, było więc ciepło.

Szalupa w czasie transportu na saniach nie uległa żadnemu uszkodzeniu, była w zupełnie dobrym stanie i szła po wodzie wybornie.

Johnson kierował sterem, Bell i amerykańczycy dobrze się usadowili przy pakunkach na spodzie statku. Hatteras siedział na przodzie i wlepił wzrok w ten punkt tajemniczy, do którego czuł się ciągnionym jakąś siłą nieprzepartą.

Gdyby napotkać miano brzeg jaki, chciał on go pierwszy odkryć; zaszczyt w zupełności mu się należał.

Zauważył on wreszcie, że powierzchnia morza podbiegunowego wykazuje niewielką falistość, jaką obserwować można na miedzymorzach. Upatrywał on w tem oznakę bliskości lądu.

Nic jednak nie można było dojrzeć, prócz wody i kilku gór lodowych, płynących daleko.

Woda była niezmiernie przezroczysta i dozwalała widzieć, co dzieje się w głębinach.

Zdawało się, jak gdyby morze to oświetlone było od spodu. Jakieś zjawisko elektryczne, odbywające się na dnie, rozjaśniało najniższe warstwy wody.

Nad powierzchnią tej niezmierzonej wody unosiły się stada ptaków, podobne do chmu-

ry burzą brzemiennej. Ptaki te, reprezentowały rozmaite gatunki wielkiej rodziny paktwa wodnago.

Spotkać tu było można tak często widziane na morzach południowych albatrosy, jak również pingwiny, obserwowane na morzach północnych.

Niektóre z nich były olbrzymich rozmiarów.

Doktór oszołomiony był tym widokiem a zarazem zdziwiony, że tak mało posiadał wiedzy.

Na powierzchni morza widać było niemierniej zadziwiające twory królestwa zwierzęcego.

Spojrząwszy w głąb przezroczystą, widzieć było można tysiące rozmaitych zwierząt, malejących w czasie usuwania się w głębinę, lub olbrzymiejących w miarę zbliżania się do powierzchni.

Powietrze było niezmiernie czyste, można było powiedzieć: było przeciążone tlenem. Z prawdziwą rozkoszą wdychali to powietrze żeglarze, czując jakby równocześnie przybywało im sił.

Następnege dnia na horyzoncie nic zauważyć się nie dawało, co zwiastowało by bliskość lądu.

Wiatr nadal był pomyślny, a morze dosyć spokojne.

Tak samo jak dnia poprzedniego, ukazywały się liczne stada ptaków i wielkie ilości ryb oraz zwierząt morskich.

Gdzie niegdzie pływające góry lodowe a także oderwane bryły lodu, nieco przerywały jednorodność widoku.

Wogóle jednak, lody spotykało się dosyć rzadko, przyczem nie tamowały one zupełnie żeglugi.

Na horyzoncie, w stronie południowej, również nic dojrzeć nie było można. Clawbonny począł już wogóle powątpiewać w istnienie jakiegoś lądu pod tą szerokością geograficzną. Po dokładnej jednak rozwadze, dochodził do przekonania, że ląd taki istnieć musi.

Rozglądano się też ciągle bacznie po widnokręgu; kapitan nie odejmował lunety od oka.

Z koloru wody, z kształtu fal, z powiewu wiatru, chciał on określić bliskość lądu.

Postać jego pochyliła się naprzód, jakby czemś pociągana. Kto nie znał by jego myśli, podziwiać by go musiał, tak niezłomne postanowienie wiało od jego oostaci,

XXII.

W pobliżu bieguna

Tymczasem czas upływał w niepewności.

Na tej ogromnej przestrzeni nie widać było nic, prócz nieba i morza; na powierzchni wody nie ukazał się nawet listek, któryby, jak niegdyś Kolumba, napełnił serca ich radością.

Hatrteas wciąż patrzył w dal.

Nakoniec, około godziny 6 wieczorem, ukazała się ponad powierzchnią morza jakaś mgła niewyraźnego kształtu, która wciąż unosiła się w górę. Niebo było zupełnie czyste i nie można było mgły tej brać za chmurę; chwilami znikwała ona, to znów zjawiała się nagle.

Hatteras pierwszy zauważył to zjawisko, skierował też zaraz swą lunetę na tę mgłę i przyglądał się jej przez całą godzinę.

Nagle, spostrzegłszy widać jakąś pewniejszą wskazówkę, wyciągnął rękę w kierunku horyzontu i zawołał radośnie:

— Ziemia! ziemia!

Na słowa te wszyscy zerwali się ze swych miejsc, jakby poruszeni prądem elektrycznym.

Jakiś rodzaj dymu unosił się po nad powierzchnią morza.

— Widzę, widzę! wahał doktor.

— Tak, wistocie, powtórzył Johnson.

— Chmura! rzekł Altamont.

— Ziemia! ziemia! powtórzył Hatteras stanowczo.

Pięciu żeglarzy z największą uwagą przyglądało się zjawisku. Lecz, jak to się często zdarza z przedmiotami niedokładnie widzianymi, z powodu zbyt wielkiego oddalenia, im też zdawało się, że obserwowany punkt znikł znowu. Niebawem jednak na nowo go ujrano, a doktorowi nawet zdawało się, że widział w odległości 20 — 25 mil na północ błysk jakiś.

— To wulkan! zawołał.

— Wulkan? pytał Altamont.

— Nie ulega wątpliwości.

— Pod taką szerokością?

— A zatem, rzekł Hatteras, udajmy się w jego kierunku.

W tej chwili zerwał się wiatr niepomyślny, który odrzucił szalupę w przeciwnym kierunku, i obserwowany punkt znów znikł z oczu.

Pomimo to wątpić już nie było można w bliskość wybrzeża. Cel podróży zatem był widziany, chociaż nie doścignięty jeszcze. W przeciągu jednak 24 godzin żeglarze stana na tej nowej ziemi.

Opatrzność, dozwolewszy im zbliżyć się do tego upragnionego lądu, nie odmówi też sposobu do wylądowania.

Nikt jednak wśród obecnych okoliczności nie okazywał takiego uszczęśliwienia, jakie zwykło się uwidaczniać przy takim odkryciu; każdy zamknął się w sobie i rozmyślał o tej nieznaney ziemi podbiegunowej.

Nasi żeglarze ulegali ogólnemu wrażeniu, każdy myślał o obecnem położeniu i wśród tych rozmyślań sen skleił ich powieki.

Hatteras pozostał na straży, siadł on przy sterze. Doktor, Altamont, Johnson i Bell, rozłożywszy się na ławkach, spali.

W końcu i Hatteras, kołysany ruchami szalupy, również zasnął.

Podczas snu jego na horyzoncie ukazała się olbrzymia, oliwkowego koloru chmura i zaciemniła ocean. Z trudnością można sobie wyobrazić z jak błyskawiczną szybkością powstają orkany na morzach północnych:

Fale piętrzyły się wysoko, szalupa gwałtownie się kołysała, to w jedną, to w drugą stronę, zanurzała się głęboko, lub unosiła ponad powierzchnię morza, ażeby za chwilę znów się pogрузić.

Hatteras silną dłonią uchwycił ster, a Johnson i Bell zajęli się wylewaniem wody, która dostawała się do szalupy.

— Na taką burzę nie przygotowaliśmy się, rzekł Altamont, trzymając się ławki.

— Tutaj wszystkiego spodziewać się można, odpowiedział doktor.

Rozmowa toczyła się wśród świstu wiatru i szumu bałwanów, smaganych przez wichry, nadeszła chwila, gdy niepodobieństwem było słyszeć się wzajemnie.

Trudno było utrzymać kierunek północny, gęsta mgła nie pozwalała nic dojrzeć. Ta nagle burza, w chwili zbliżania się do celu, zdawała się zawierać w sobie surową przestrogę którą, wzburzone już i tak umysły, wzięły za zakaz posuwania się naprzód.

Czyżby natura chciała zagrozić drogę do bieguna?

Energiczny wyraz twarzy tych ludzi, łatwo jednak dawał poznać, że żartują oni sobie z burzy i bałwanów i wytrzymają do końca.

Przez dzień cały walczyli oni, broniąc się przed grożącą im śmiercią, nie poszli naprzód ale i nie cofnęli się o krok.

Około godziny 6 wieczorem, wiatr nagle ustał, morze uspokoiło się, mgła zaś, nie uniosłszy się w górę stała się dziwnie przezroczystą.

Szalupa posuwała się w pastwie świetlnym, odbijając równocześnie swe kształty na fosforycznym tle nieba.

Twarze podróżnych zabarwiły się płonącym blaskiem. Ta ognista atmosfera nasunęła Hatterasowi pewną myśl.

— Wulkan! zawołał on.

— To niemożliwe, powiedział Bell.

— Płomienie takie, gdyby nas dosięgły udużyły by nas, rzekł doktor.

— Może widzimy wśród mgły tylko ich odbicie? powiedział Altamont.

— Także nie, bo wówczas należałoby przypuszczać, że jesteśmy blisko lądu i słyszeliśmy łoskot wybuchu.

— Więc cóż to jest?... pytał kapitan.

— Jest to kosmiczne zjawisko, odpowiedział doktor, dotąd niezbadane. Jedźmy dalej, a wydostaniemy się niebawem z tej świetlonej sfery.

— I znów napotkano ciemność i burzę.

— Cokolwiek bądź nas czeka posuwajmy się naprzód, rzekł Hatteras.

— A więc naprzód! powtórzyli wszyscy.

— Żagle ognistemi fałdami wisiały wzdłuż iskrzących się masztów; wiosła tonęły w górejących falach, rozpryskując krople wody, błyszczącej jak iskry.

Hatteras z busołą w ręku skierował się znów na północ; stopniowo mgła straciła swą jasność, a potem swą przezroczystość. Usłyszano w pobliżu wycie wichru i niebawem szalupa wpłynęła w strefę burzy.

Na szczęście wicher zwrócił się na południe i szalupa mogła posuwać się ku biegownikowi, bez względu na to, że w każdej chwili narazoną była na rozbicie o skałę jaką lub bryłę lodu, i wówczas pozostałyby z niej szczątki jedynie.

Bliskość wybrzeża zwiastowały najrozmaitsze oznaki. Nagle mgła rozpadła się, jakby zasłona, którą zerwał wiatr i przez chwilę można było widzieć na horyzoncie olbrzymi słup ognia.

— Wulkan! wulkan!..

Jeden okrzyk wyrwał się z piersi wszystkich, ale fantastyczne zjawisko znowu znikło; wiatr zmienił kierunek na południo - wschód, porwał szalupę i odsunął ją od tego nieprzystępnego lądu.

— Przekleństwo! zawołał Hatteras.

Byliśmy zaledwie o 3 mile oddaleni od wybrzeża!

Z rozwianym włosem, stojąc u steru, zdawał się być duszą tej barki.

Naraz w odległości zaledwie 60 stóp, ukazała się ogromna bryła lodu, a na niej trzy białe niedźwiedzie. Groziła ona lada chwila zwaleniem się na szalupę.

Jeśli się ten prom lodowy wywróci, co być łatwo może, to niedźwiedzie usiłować będą dostać się do szalupy



Przez kwadrans szalupa pływała równo z bryłą lodu, raz w oddaleniu 20 sążni, to znów tak blisko, że prawie się o nią ocierała.

Nareszcie zaczęła się oddalać coraz szybciej, gnana wiatrem prędzej niż szalupa.

W tej chwili burza z podwójną zaczęła szaleć gwałtownością; statek, rzucany przez fale, począł wirować z gwałtowną szybkością dookoła, żagiel zerwany wznosił się w przestworza, jak ptak. Wśród miotanych fal otworzył się okrągły otwór, podobny do Maelstromu, żeglarze pochwyceni w tę otchłań, pędzili z niezwykłą szybkością. Powoli zanurzali się w ten otwór, który zdawał się ku sobie przyciągać, aby ich żywcem pochłonać.

Wszyscy zerwali się, patrząc błędem okiem na to co się działo.

Nagle szalupa stanęła pionowo, przednią jej część zdołała się oprzeć niebezpieczeństwu, wstrząśnięta wirem tak gwałtownie, jak gdyby kula armatnia ją w powietrze wyrzuciła.

Altamont, doktor, Johnson i Bell padli na ławki, a gdy po chwili powstali, zauważyli brak Hatterasa.

Była wówczas godzina druga rano.



XXIII.

Bandera angielska.

Spostrzegłszy brak kapitana, towarzysze jego wydali okrzyk przerażenia

— Hatteras! Hatteras! wołał doktor.

— Zginął! rzekli Bell i Johnson.

Na wzburzonych falach morza nie było żadnego śladu po zaginionym.

— Bierz za ster Altamencie, musimy uczynić wszystko dla ocalenia Hatterasa, rzekł doktor.

Altamont zajął miejsce przy sterze, zaś Bell i Johnson wzięli się do wiosł; napróżno jednak krążono przeszło godzinę po miejscu wypadku.

Hatteras zginął i śladu po nim nie było.

Zginął tak blisko celu, do którego dążył, tak blisko biegł!

Doktor krzyczał, wołał i strzelał, Duk szczeptał, lecz wszystko napróżno, nie usłyszano żadnego głosu.

Po godzinnem poszukiwaniu, puszczono się w kierunku północnym, walcząc w dalszym ciągu z huraganem.

O godzinie 5 -ej rano morze uspokoiło się i wiatr ustał.

W odległości 3 mil, żeglarze spostrzegli wylaniający się z morza ląd, a raczej wyspę, ze sterczącym pośrodku, jak latarnia morska, wulkanem.

Wulkan wyrzucał z siebie masę rozżarzonych kamieni, które wylatywały razem z popiołem i lawą wśród olbrzymich słupów płomieni i dymu.

Skała ta ziejąca ogniem i lawą miała około 1.000 sążni wysokości i prawie równała się wulkanowi Hekla.

Szalupa powoli zbliżała się do skały, która w miarę tego, przybierała w oczach żeglarzy coraz dziksze kształty. Była ona pozbawiona roślinności a nawet nie dało się dostrzec, odpowiedniego do wylądowania wybrzeża.

W odległości 500 kroków od skały, morze wrzało pod działaniem podziemnych ogni.

Wyspa, mogła mieć obwodu 8 do 10 mil i musiała znajdować się niedaleko bieguna, jeśli nawet nie przez nią samą przechodziła oś ziemi.

Gdy żeglarze zbliżyli się, zauważyli małą przystań, mogącą dać schronienie szalupie, wjechali tam pełni trwogi, aby nie napotkać zwłok kapitana, na ląd wyrzuconych.

Nagle Duk, gwałtownym skokiem, pierwszy znalazł się na łądzie i wdarł się na skałę.

— Duk, pójdź tu! wołał doktor.

Pies nie słyszał jednak rozkazu i znikł niebawem.

Clawbonny i trzech jego towarzysze umocowali szalupę i wysiedli.

Już Altamont miał zamiar wdrapać się na stos kamieni, gdy usłyszano zdała rozlegające się, głośne szczekanie Duka.

— Słuchajcie! słuchajcie! wołał doktor.

Wszyscy czterej pobiegli śladem psa i wkrótce dotarli do leżącej w głębi, małej zatoki, gdzie fale widocznie na sile utraciły.

Tu czekał Duk obok zwłok owiniętych banderą angielską.

— Hatteras! Hatteras! zawołał doktor, rzucając się na ciało swego przyjaciela.

I jednocześnie prawie wy dobył się z piersi jego okrzyk, gdyż uczuł pod swą dłońią tętno bijące w tym krwią zbroczonym ciele.

— Żyje! żyje! zawołał.

— Tak, słyszeć się dał głos słaby, tak, żyję na łądzie biegunowym, na który mnie burza wyrzuciła. Żyję na wyspie „Królowej!”

— Niech żyje Anglia! wykrzyknęło jednocześnie pięciu ludzi.

— Niech żyje Ameryka! dodał doktor, podając jedną dłoń Hatterasowi, a drugą Altamontowi.

Odważni ci ludzie byli tak uszczęśliwieni z odnalezienia swego kapitana, że oczy ich zasły łzami.

Doktór zbadawszy stan kapitana, doszedł do wniosku że był on tylko silnie potłuczony, rany zaś jego nie były groźne.

Odważnemu żeglarzowi udało się dzięki swej energii ucześcić się skały i wdrzeć się na nią. Tu, owinąwszy się banderą, stracił przytomność. Odzyskał ją dopiero wówczas gdy usłyszał szczekanie Duka.

Po udzieleniu pierwszej pomocy, Hatteras mógł powstać i, oparłszy się o doktora, powrócił do szalupy.

— Biegun! biegun północny! powtarzał wciąż przez drogę.

Hatteras był pod wpływem wielkiego wzburzenia, doktor starał się go uspokoić, ale mu się to nie udawało.

Widocznie potrzebował on wypoczynku, za często więc szukać miejsca, gdzieby można urządzić schronienie.

Altamont wynalazł niebawem grootę wśród skał; Johnson i Bell znieśli tam zapasy żywności i puścili na wolność psy grenlandzkie

Około godziny 11 jedzenie było przygotowane. Zanim jeszcze przystąpiono do posiłku, Hatteras domagał się, aby zdjęto położenie wyspy, chciał bowiem dokładnie wiedzieć, gdzie się znajduje.

Po ścisłej obserwacji, doktor i Altamont, określili, że grotą znajduje się pod $89^{\circ} 59' 15''$ szerokości. Długość nie grała już tu żadnej roli, gdyż o kilkaset stóp wyżej wszystkie południki łączyły się ze sobą, punkt ten znajdował się na szczycie wulkanu.

Hatteras, dowiedziawszy się o wyniku tego wymiaru, prosił o spisanie protokołu, i to w dwóch egzemplarzach, z tych jeden złożony miał być w kairnie na wybrzeżu, umyślnie zbudowanej.

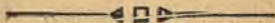
Doktor bezwzględnie zredagował następujący dokument w dwóch egzemplarzach, z których jeden znajduje się w archiwum Królewskiego towarzystwa Geograficznego w Londynie.

„Dnia 11 lipca 1861 roku, pod $89^{\circ} 59' 15''$ północnej szerokości została odkryta „Wyspa Królowej“ na biegunie północnym przez kapitana Hatterasa, dowódcę brygu „Forward“ z Liwerpoolu, który podpisuje ten dokument wraz ze swoimi towarzyszami.

Kto znajdzie ten dokument, jest proszony o wręczenie go Admiralicji.“

Podpisano: — Jan Hatteras, dowódca „Forwarda“. doktor Clawbonny, lekarz, Altamont, dowódca „Porpoise“, Johnson sternik, Bell cieśla.

— A teraz do stołu! zawołał doktor,



XXIV.

Kosmografja biegunowa.

Podróźni nasi zasiedli do przygotowanej uczty, rozumie się na ziemi, przepełnieni radością i dumą z dokonanego odkrycia.

Zapomniano chwilowo o przebytych niebezpieczeństwach i nie myślano o tych, jakie czekały ich jeszcze w drodze powrotnej.

Uważnie przysłuchiwali się wszyscy, gdy doktor począł opowiadać o obecnem ich położeniu.

Opowiadanie swoje rozpoczął Clawbonny od toastu:

— Niech żyje Hatteras!

— Niech żyje! zawołali wszyscy obecni.

Drugi toast wypito na cześć bieguna północnego, poczem doktor rozpoczął w te słowa:

— Odkrycie nasze, jest najważniejszym z odkryć lat ostatnich i zapewne nikt nie pomyślał że nastąpi ono przed zbadaniem wnętrza Afryki lub Australji!

Trudności tego przedsięwzięcia zdawały się być tak wielkie, że sądzono, iż biegun pół-

nocny będzie ostatnim etapem odkryć geograficznych, ze względu na piętrzące się, prawie nieprzewyciężone przeszkody.

— Niema przeszkód nieprzewyciężonych, zawołał Hatteras, trzeba tylko posiadać mniejszą lub większą siłę woli, oto wszystkol

— Panie Clawbonny, może zechce nam pan opowiedzieć coś szczególnego o tym biegunie, do którego dotarliśmy z taką trudnością.

— Przedewszystkiem, kochany Johnsonie, biegun jest jedynym punktem nieruchomym na kuli ziemskiej.

— Co prawda, nie można tego dostrzec.

— Jest to jednak faktem. Ziemia odbywa ruch wirowy, około swej osi w ciągu 24 godzin. Końce tej osi przechodzą przez biegun północny i południowy. Otóż obecnie znajdujemy się na jednym krańcu tej osi, koniecznie nieruchomym, czyli nie poruszamy się, gdy tymczasem mieszkańcy każdego punktu równika odbywają 396 mil francuskich na godzinę.

— A przytem nie męczą się? pytał Bell.

— Bynajmniej!

— Czy oprócz ruchu wirowego ziemia nie ulega jeszcze obrotowi około słońca? wtrącił Johnson.

— Owszem ulega jeszcze ruchowi postępowemu, który dokonywa się w ciągu jednego roku.

— A czy ruch ten jest prędszy od wirowego? pytał Bell.

— Nieskończenie prędszy i dodam, że chociaż znajdujemy się u bieguna, nieruchomi jesteśmy tylko w stosunku do słońca.

— Może pan Clawbonny nam powie, jaka jest szybkość tego obrotu postępowego? pytał Johnson.

— Bardzo znaczna; ziemia przebiega około słońca 76 razy prędzej aniżeli 24 funtowa kula, przebiegająca w sekundę 165 sążni.

— Do licha, rzekł Bell to nie do uwierzenia, panie Clawbonny! Byłoby przecież tak łatwo pozostać nieruchomym, gdyby tylko Pan Bóg zechciał!

— Wówczas, wyobraź sobie Bellu, nie byłoby ani dnia, ani nocy, ani też zimy, wiosny, lata i jesieni, odpowiedział Altamont.

— I zaszło by jeszcze coś gorszego, dodał doktor.

— Co mianowicie? pytał Johnson.

— Wpadlibyśmy na słońce.

— Wpadlibyśmy na słońce?

— Tak jest. Gdyby ten ruch postępowy ustał, ziemia wpadłaby na słońce w ciągu 64 dni i 12 godzin.

— Spadać przez 64 dni! powtórzył Johnson.

— Ani mniej, ani więcej, odpowiedział do-

któr, ponieważ musiałaby przebiec odległość 38,000.000 mil francuskich.

— Wróćmy jednak do bieguna, mówił Altamont.

— Powiedziałem wam, prawil dalej doktor że biegun jest punktem nieruchomym odnośnie do innych punktów ziemi, ale twierdzenie to nie jest zupełnie ścisłe, gdyż biegun nie zawsze pozostaje na tem samym miejscu. Niegdyś gwiazda polarna była więcej niż teraz oddalona od bieguna.

Nasz biegun przeto porusza się widocznie, opisując koło w ciągu około 26,000 lat.

Pochodzi to z ruchu wstecznego punktów równodziennych i równonocnych.

Gdybyśmy się w tem miejscu znajdowali w czasie zimy, moglibyśmy zobaczyć jak nokoło nas gwiazdy zakreślają dokładne koło. Słońce, w dniu zrównania dnia z nocą, t. j. dnia 22 marca, ukazałoby się nam na dwoje przedzielone widnokręgiem i podnosiłoby się zwolna, tworząc przedłużone linje

Tu jednak zdaża się osobliwy fakt, że słońce ukazawszy się, więcej nie zachodzi i widoczne jest przez 6 miesięcy.

W dniu 22 września, t. j. w czasie jesiennoego zrównania, słońce ukazuje się, a zniknąwszy z horyzontu, nie widać go już przez całą zimę.

— Panie Clawbonny, rzekł Johnson, wspo-

minał pan o spłaszczeniu ziemi przy biegunach, czy może nam pan wyjaśnić to zjawisko.

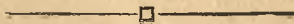
— Z przyjemnością Johnsonie. Oto w czasie formowania się świata, ziemia była w stanie płynnym, ruch obrotowy musiał wtedy część pewną jej masy ruchomej posuwać do równika, gdzie siła odśrodkowa mocniej działała.

Gdyby ziemia stała w miejscu, to zostałaby foremną kulą, przybrała ona jednak kształt elipsy, a punkty biegunowe są bliżej środka ziemi o 5 i jedną trzecią mili, niż punkty równikowe.

— Teraz wyjaśnię wam dlaczego spłaszczenie ziemi przy biegunach jest powodem zmiany punktów zrównania dnia z nocą, to jest dla czego corocznie zrównanie wiosenne przypada o jeden dzień wcześniej, aniżeli to by miało miejsce, gdyby ziemia była zupełokrągła.

Wynika to poprostu z tego, że przyciąganie słońca działa odmiennie na część kuli ziemskiej, leżącą przy równiku, ulegającą ruchowi wstecznemu. Wskutek tego biegun nieco zmienia swe położenie.

Na tem kończę pogawędkę o biegunie.



XXV.

Góra Hatterasa.

Zmęczeni trudami dni poprzednich, podróżni nasi niebawem pogrążyli się w śnie głębokim.

Jeden tylko Hatteras nie mógł usnąć. Podniecona wyobraźnia kapitana, jego zdenerwowanie i jakaś, trapiąca go myśl, nie pozwalały mu, pomimo utrudzenia, zasnąć na chwilę.

Gdy wczesnym rankiem, zbudzili się towarzysze kapitana, nie dostrzegli go już w grocie. Zaniepokojeni jego nieobecnością, wybiegli na dwór.

Hatteras stał wpatrzony w szczyt góry; trzymał on w rękach narzędzia i rozmyślał nad czemś.

— Moi przyjaciele, rzekł wzruszony kapitan ujrawszy ich, dziękuję wam za odwagę, wytrwałość i nadludzkie wysiłki, dzięki którym dotarliśmy do tego, nie osiągniętego dotąd przez nikogo, punktu.

— Kapitanie, odpowiedział Bell, spełniliśmy tylko nasz obowiązek, słuchaliśmy twoich

rozkazów i tobie tylko przypada w udziałę chwała tego odkrycia.

— Tak jest! odezwał się Hatteras, nie wszyscy jednak umieli spełnić ten obowiązek, niektórzy nie wytrwali. Lecz trzeba wybaczyć zarówno tym, którzy zdradzili, jak i tym, którzy się dali do zdrady namówić! Biedni! przebaczam im! Ty mnie rozumiesz, doktorze!

— Tak, odrzekł doktor, mocno zaniepokojony egzaltacją Hatterasa.

— Nie chcę również, mówił dalej kapitan, aby utracili ten mały majątek, który ich skłonił do odbycia tej dalekiej podróży. Nie, w rozporządzeniach moich nie zajdzie żadna zmiana; niech będą bogaci... jeśli kiedykolwiek powrócą do Anglii!

Nie można było powstrzymać się od wzruszenia, słysząc te słowa z głębi serca pochodzące.

— Ależ kapitanie, rzekł Johnson żartobliwie, wygląda to, jakbyś pan testament robił.

— Być może! odpowiedział poważnie Hatteras.

— Masz pan przed sobą długie i pełne sławy lata, mówił stary marynarz.

— Kto to wiel! zauważył Hatteras.

Po tych słowach nastąpiło długie milczenie; doktor nie miał odwagi szukać ich znaczenia, lecz Hatteras sam je wyjaśnił i głosem stanowczym rzekł;

— Moi przyjaciele, posłuchajcie! Wieleśmy dotąd zdziałali, ale pozostało jeszcze bardzo wiele do zrobienia.

Wielkie zdziwienie zapanowało wśród słuchaczy.

— Tak, jesteśmy na gruncie biegunowym, ale nie u samego bieguna!

— Jakto? spytał Altamont.

— Nie rozumiem! zawołał doktor zaniepokojony.

— Tak! powtórzył Hatteras z naciskiem, powiedziałem, że Anglik pierwszy postawi nogę na biegunie i Anglik tego dokona!

— Co?.. zapytał doktor.

— Jesteśmy od tego nieznanego punktu oddaleni o 45 sekund, i ja dotrzeć doń muszę!..

— Ależ tym punktem jest szczyt wulkanu.

— Dojdę tam!

— Miejsce niedostępne!

— Nic nie znaczy!

— Jest to krater, buchający ogniem!

— Nie przestrasza mnie wcale!

Doktor przemówił, usiłując wytłomaczyć Hatterasowi niewykonalność jego zamiaru, przytaczając rozmaite powody, wogóle zrobił wszystko co mógł, nie zdołał jednak wpłynąć na zmianę postanowienia kapitana.

— Jeśli tak, rzekł on, będziemy ci towarzyszyli.

— Dobrze, rzekł kapitan, do połowy góry, nie dalej. Wy powinniście przywieść do Anglii kopię protokołu o naszym odkryciu w razie...

— Jednakże...

— Rzecz jest załatwiona, a jeżeli prośba przyjaciela nie wystarcza, kapitan wam rozkazuje.

Doktor nie nalegał i po upływie kwadransa podróżni, poprzedzani przez Duka, ruszyli w drogę.

W miarę posuwania się wyżej, pochód ten stawał się coraz trudniejszy; zbocza góry były nadzwyczaj strome należało więc zachowywać się nader ostrożnie aby się nie osunąć na dół.

Łatwo zrozumieć jak niebezpieczną była podobna wyprawa na górę. Powziąć ją mógł tylko człowiek szalony.

Hatteras wdzierał się na górę z niezwykłą zręcznością, nawet bez pomocy swego okutego kija wchodził na najbardziej strome spadki.

Niebawem doszedł on do sterczącej skały, która tworzyła rodzaj płaszczyzny, dookoła rozlewał się strumień wrzącej lawy, rozdzielający się na dwie odnogi na wierzchołku wyżej położonej skały. Hatteras zuchwale wstąpił na nią. Tu zatrzymał się i zaczął na towarzyszków.

Od trzech godzin trwało już wdzieranie się na górę, pomimo to Hatteras nie zdawał się być zmęczonym, towarzysze jego natomiast zaledwie na nogach utrzymać się mogli.

Wierzchołek wulkanu zdawał się być niedostępnym. Doktor postanowił bądź co bądź nie dozwolić Hatterasowi na dalszy pochód. Próbował naprzód dobrocią, lecz egzaltacja kapitana graniczyć poczęła z obłędem. Już podczas wznoszenia się na górę zauważyć było można oznaki szaleństwa, a kto go znał i widywał w różnych okolicznościach życiowych, nie mógł się temu dziwić.

— Hatterasie, rzekł doktor, dość już! dalej iść nie możemy!

— A więc zostańcie! odpowiedział Hatteras, ja pójdę wyżej!

— Byłoby to zbyt cieżko! jesteś tu już przecież u bieguna ziemi!

— Nie, nie, wyżej!

— Przyjacielu, ja, doktor Clawbonny, mówię do ciebie. Czyż mnie nie poznajesz?

— Wyżej! wyżej! powtarzał gorączkowo kapitan.

— Nie! nie! My nie pozwolimy!..

Doktor nie dokończył jeszcze tych słów, gdy Hatteras z nadludzkim wysileniem przeskoczył potok lawy i oddzielony został od swych towarzyszy, którzy nie mogli udać się za nim.

Wydali okrzyk przerażenia, sądząc, iż Hatteras runął w ognisty strumień, lecz kapitan padł na drugą stronę, a za nim skoczył Duk, który swego pana nie chciał opuścić. Znikł za zasłoną dymu i usłyszano jego głos, który brzmiał zdala coraz słabiej.

— Na północ! na północ! wołał. Na szczyt góry Hatterasa. Pamiętajcie o górze Hatterasal...

Hatteras ukazywał się niekiedy wśród słupów dymu i popiołu. Czasami znów dojrzeć było można to rękę, to znów głowę jego, potem znikał aby ukazać się wyżej.

Towarzysze kapitana z przestachem śledzili jego ruchy. Postać jego malała ciągle.

Straszne to widowisko walki z chwiejącymi się skałami, lawą i popiołem trwało już prawie godzinę. Wreszcie dotarł on do wierzchołka wulkanu i stanął przed otworem krateru.

Zobaczywszy go stojącego w tem miejscu, doktor miał nadzieję, że osiągnąwszy cel zamierzony, kapitan ruszy z powrotem, mając do przewyciężenia raz już przebyte przeszkody.

Raz więc jeszcze zawołał:

— Hatterasie! Hatterasie!..

Rozpaczliwy okrzyk doktora wzruszył Altamonta do głębi.

Z okrzykiem — Ja go ocale! przesadził on

ognisty potok, znikając wśród skał. Stało się to tak szybko, że doktor nie miał go czasu powstrzymać.

Kapitan, dotarwszy do szczytu wulkanu, posuwał się nad przepaścią po wystającej skale. Dookoła niego padał grad kamieni. Duk znajdował się obok swego pana; biedne psisko traciło widocznie przytomność.

Hatteras, w jednym ręku trzymał banderę, drugą zaś wskazywał na zenicie biegun sfery niebieskiej. Zdawało się, jak gdyby nie był on jeszcze zupełnie pewnym. Szukał on matematycznego punktu, w którym schodzą się wszystkie południki, a na którym to punkcie chciał on stanąć.

Nagle skała, obsunęła się pod jego stopami, sam on znikł...

Okrzyk rozpaczony wydarł się z piersi jego towarzyszków. Wszyscy uważali go już za straconego.

Był tam jednak Altamont i Duk. Pochwycili oni nieszczęśliwego, w chwili gdy miał on wpaść w otchłań.

Hatteras ocalony został mimo swej woli. Po upływie kwadransa, obłąkany Hatteras leżał na rękach swoich przyjaciół.





XXVI.

Powrót na południe.

W kilka godzin po opisanych powyżej wypadkach, podróżni zebrani w grocie naradzali się co począć dalej.

— Przyjaciele, rzekł doktor, na tej wyspie nie mamy po co dłużej pozostawać. Morze mamy wolne, rzywności pod dostatkiem, wiatr sprzyja naszemu powrotowi; wracajmy do szczytu Opatrzności, tam przezimujemy w oczekiwaniu przyszłego lata.

— Popieram zdanie doktora, rzekł Altamont i radzę jutro ruszać w drogę.

Odważni ci ludzie teraz dopiero po stracie swego dowódcy, który był duszą całego zespołu, poczuli się przygnębieni i osamotnieni.

Spełniając wolę kapitana, ułożono na wybrzeżu, pagórek z głazów, a na jednym z nich Bell wyrył skromny napis.

Jan Hatteras

1 8 6 1

Wewnątrz pagórka umieszczono szczelnie zamkniętą puszkę blaszaną z dokumentem.

Następnego dnia, po zrobieniu z płótna namiotu nowego żagla, o godzinie 10 rano, ruszono w podróż powrotną, zabierając ze sobą nieszczęśliwego kapitana i zasmuconego Duka.

Wolne od lodów morze, sprzyjało żeglarzom którym zdawało się, iż przyjemniej jest uciekać od bieguna niż zbliżyć się do niego.

Hatteras tylko nie rozumiał, co się działo naokoło niego. Siedział w szalupie jak niemy, z okiem przygasłym, z rękami na piersiach skrzyżowanymi. Duk leżał u nóg jego. Daremnie doktor przemawiał do niego, Hatteras go nie rozumiał.

Dnia 15 lipca ujrzano na południu Altamont Harbour, lecz ponieważ morze biegunowe na całym wybrzeżu było wolne, postanowili podróżni zamiast przebyć na saniach Nową Amerykę, opłynąć ją aż do zatoki Wiktorja.

Droga była krótszą, odbyto ją w ciągu tygodnia. W poniedziałek wieczorem, 23 lipca, przybyli do zatoki Wiktorja.

Przymocowano szalupę do brzegu i udano się do szańca Opatrzności. Lecz jakież spustoszenie przedstawiało się ich oczom.

Domek doktora, składy, magazyn prochu, fortyfikacje, wszystko pod działaniem promieni słonecznych zamieniło się w wodę, a

zapasy zostały zrabowane przez dzikie zwierzęta.

Smutny był to widok!

Ponieważ żeglarze bardzo mało posiadali żywności, przeto przepędzenie tutaj zimy okazało się niemożliwym. Jako ludzie, łatwo decydujący się, postanowili dostać się jak najkrótszą drogą do morza Baffińskiego.

— Nie mamy innego punktu wyjścia, rzekł doktor, morze Baffińskie jest odległe zaledwie o 600 mil. Dopóki szalupie nie brak wody, możemy płynąć, dostaniemy się do cieśniny Jones, a stamtąd do posiadłości duńskich.

— Dobrze, odpowiedział Altamont, a zatem zbierzmy resztę żywności i w drogę.

Po skrupulatnych poszukiwaniach znaleziono kilka skrzyń pemikanu i dwie beczki solonego mięsa; wszystkie zatem zgromadzone zapasy starczyć mogły zaledwie na 6 tygodni. Ilość prochu była dostateczna.

Dnia 24 lipca, puszczono się na morze, trzymając się wybrzeża. Około 83° szerokości łódź zwracał się ku wschodowi i było możliwe, że łączył się z krajami, znanymi pod nazwą Pricinela, Ellesmer i Lincoln północny, tworzących wybrzeże zatoki Baffińskiej.

Szalupa trzymała się wybrzeża, dając możliwość zaopatrywania się w wodę słodką i umożliwiając polowanie na ptactwo wodne.

Wobec tego doktor zmniejszył rację żywności do połowy.

Termometr przeważnie stał niżej punktu zamarzania, z początku padał deszcz, następnie nastąpiły śniegi.

Około 30 lipca słońce znikło zupełnie.

Spieszono się, wiedziano bowiem, jakie groziły przeszkody i niebezpieczeństwa, gdyby musiano powrócić na ląd, nowe zaś lody tu i owdzie już się ukazywały.

Pod tą szerokością geograficzną niema pór roku przejściowych, po lecie następuje od razu zima.

Dnia 31 lipca, zauważyli podróżni pierwsze gwiazdy i zapanowały gęste mgły.

15 sierpnia, po 30 dniach żeglugi i usilnej walce z bryłami lodu, narażani często na rozbicie, podróżni zostali zatrzymani przez lody, bez możliwości posuwania się naprzód; morze ze wszech stron było zmknięte i termometr wskazywał 9 stopni zimna.

Zresztą, tak od północy, jak od zachodu łatwo było rozpoznać bliskość wybrzeża po płasko zaokrąglonych, małych kamieniach, tu i owdzia spotykanych.

Altamont zdjął położenie i przekonał się, że znajdowali się pod 77° 15' szerokości i 85 2' wschodniej długości.

— A więc dotarliśmy do północnego Lin-

colnu, ściślej mówiąc, rzekł doktor, do przyładka Eden.

Obecnie wstępujemy do cieśniny Jones, a gdybyśmy mieli szczęście zastalibyśmy ją jeszcze wolną od lodów aż po morze Baffińskie.

— A więc nie mamy innego punktu wyjścia, mówił Altamont, nad opuszczenie szalupy i dostanie się na saniach do wschodniego wybrzeża Lincolnu.

— Zgadzam się na sposób podróżowania, odpowiedział doktor, ale zamiast przez Lincoln, proponuję dostanie się do północnego Devonu przez cieśninę Jones.

— A to czemu?

— Dla tego, że im bliżej będziemy cieśniny Lancaster, tem prędzej spotkać możemy wielorybników.

Masz słuszność, doktorze, wątpię jednak w wytrzymałość tego lodu.

— Spróbujemy.

Szalupę wyladowano; cieśla i sternik przygotowali sanie. Nazajutrz zaprzężono psy i ruszono wzdłuż wybrzeża, aby dostać się do pola lodowego.

Ponownie rozpoczęły się trudy uciążliwej wędrówki.

Na domiar złego, przejście przez cieśninę Jones okazało się niemożliwe z powodu słabego lodu i należało trzymać się wybrzeża.

Dnia 21 sierpnia podróżni doszli do cieśniny Glacier, nazajutrz, przez pole lodowe, do wyspy Koburg, którą przebyli w ciągu 2 dni.

Dnia 24 sierpnia stanęli w północnym Devonie.

— Teraz pozostaje nam przebyć ten kraj i dojść do przylądka Warender, przy wejściu do cieśniny Lancaster.

Tymczasem temperatura znacznie się oziębiła. Siły wędrowców wyczerpywały się równocześnie z zapasami żywności. Porcje ograniczono do jednej trzeciej części.

Nierówny teren północnego Devonu znacznie utrudniał podróż; góry Trauter przebyto z trudnością.

Nareszcie dnia 30 sierpnia przeszli te góry, wyszli jednak nawpół żywi i nawpół zmarznięci.

Doktór, ledwie trzymający się na nogach, nie miał odwagi zachęcać towarzyszków do wytrwałości.

Zeszedłszy na płaszczyznę postanowili kilka dni odpocząć, nie mogli bowiem nóg stawić; dwa psy zdechły z wyczerpania.

Wędrowcy rozlokowali się pod kilku wielkimi bryłami lodu, na mrozie 19 stopniowym.

Zapasy żywności znacznie zmalały; starczyć one mogły najwyżej na 8 dni.

Połować nie było na co, ptactwo bowiem odlatywało w strony cieplejsze. Śmierć głodowa groziła nieszczęśliwym!

Altamont, zebrawszy resztki sił, udał się z fuzją i Dukiem aby spróbować, czy nie uda mu się czegoś upolować.

Godzina upłynęła od chwili jego odejścia, a strzału nie było słychać, nagle przybiegł Altamont, jakby przełęknięty.

— Co się stało? pytał doktor.

— Tam, pod śniegiem! odpowiedział Altamont, tonem przerażonym, wskazując pewien punkt na widnokręgu.

— Co takiego?

— Cała gromada ludzi!..

— Żywych?

— Trupów!.. zmarz ich!.. a nawet!..

Amerikanin nie śmiał dokończyć, lecz rysy jego twarzy wyrażały nie dające się opisać przerażenie.

Doktor, Johnson i Bell pobudzeni tym wypadkiem podnieśli się i udali w kierunku wskazanym przez Altamonta.

Niebawem przybyli oni do miejsca i oczom ich przedstawił się straszny widok...

Trupy zeszywniałe od mrozu na wpół zarzebane pod białym całunem; tu sterczała z pod śniegu ręka, tu noga, tam twarz z wyrazem groźby i rozpacz.

Doktor podszedł bliżej, ale szybko cofnął

się błądy i zatrwożony, podczas gdy Duk przeraźliwie wyć począł.

— Strasznel przerażajacel wołał doktor

— Cóż takiego? pytał stary sternik.

— Czy nie poznajecie ich?..

— Kogo?

— Patrzciel

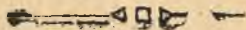
Miejsce, przy którym się znajdowali, musiało być niedawno widownią ostatniej walki ludzkiej z klimatem, rozpaczą i głodem, bo rozrzucone tu i owdzie szczątki wskazywały, że ci nieszczęśliwi karmili się trupami ludzkimi.

Doktor poznał Shandona, Pena i resztę ludzi, należących niegdyś do osady „Forwarda“.

Ta gromada ludzi musiała przetrwać tysiące katuszy, zanim doszła do tego stanu, lecz tajemnicze dzieje ich nieszczęść pozostaną na zawsze pogrzebane pod śniegami biegunowemi.

Uchodźmy stąd jak najprędzej! wołał doktor.

I odciągnął swych towarzyszy od tego straszego miejsca.



XXVII.

Zakończenie.

Bezcelowem byłoby opisywanie tych cierpień jakie znieść jeszcze musieli ci ludzie. Sami oni nie potrafiliby opisać wypadków jakie zaszły w ciągu 8 dni po odkryciu resztek załogi „Forwarda“.

Resztkami energii wędzeni, dotarli oni 9 września do przylądka Harsbourg, leżącego na krańcach północnego Devonu.

Od 48 godzin nie jedli już a ostatnia ich wieczerza składała się z kawałka mięsa psiego.

Czuli oni zbliżający się koniec. Siły opuściły ich zupełnie.

Znajdowali się wtedy na brzegu morza Baffińskiego, które w części było zamrożone. Na trzy mile od wybrzeża morze było wolne od lodów.

Postanowiono czekać na przypadkowe zbliżenie się jakiego statku wielorybniczego, nie wiedząc jak długo trwać będzie to oczekiwanie.

nie sądzono im było zginąć wśród lodów,

bo oto dnia następnego Altamont spostrzegł na horyzoncie żagiel jakiegoś okrętu.

Co czuć mogli biedni podróżni w tych chwilach domyśli się każdy. Niepewność i trwoga że okręt nie spostrzegłszy ich, oddali się od wybrzeża sprawiała im straszne męczarnie.

Zachęceni przez doktora, dowlekli się do zachodniego krańca pola ledowego i widzieli stopniowe oddalanie zbawczego okrętu, który nie spostrzegł ich obecności.

Wówczas doktorowi wpadła do głowy myśl genialna.

Zauważywszy olbrzymią bryłę lodu, płynącą ku nim, zawołał:

— Siadajmy na tą bryłę lodu, która nadpływa, siadajmy!

Nadzieja wstąpiła we wszystkich.

— Ach panie Clawbonny! panie Clawbonny! wołał uradowany sternik, ściskając ręce doktora.

Amerykanin wraz z Bellem pobiegli do sań, wyrwali z nich jakiś słupek, ustawili na bryle jak maszt i przymocowali sznurami, z płótna namiotu zrobili coś na podobieństwo żagla. Szczęściem wiatr był pomyślny.

Po kilku godzinach nadludzkich wysiłków, ta reszta załogi „Forwarda“ przyjęta została na pokład duńskiego statku wielorybniczego „Hans Christjan“ płynącego z powrotem do cieśniny Davisa.

Kapitan tego statku, ujrawszy te podobne do widm ludzkich istoty, od razu domyślił się ich historii. Zaopiekował się nimi serdecznie, dzięki czemu wkrótce przyszli do siebie.

Po dziesięciodniowej podróży, Clawbonny, Altamont, Johnson, Bell, wraz z nieszczęsnym Hatterasem wylądowali w Korsøer, na Zelandji, w Danii; skąd parowiec przewiózł ich do Kielu, a stamtąd przez Altonę i Hamburg odплыnęli do Londynu, gdzie stanęli 13 tegoż miesiąca.

Po przyjeździe do Londynu, doktor udał się bezwzględnie do Królewskiego Towarzystwa Geograficznego i prosił, aby mu wyznaczono termin na złożenie sprawozdania z odbytej wyprawy, na co się zgodzono i wyznaczono w tym celu specjalne posiedzenie.

Podziw i zapal opanował uczonych po odczytaniu dokumentu Hatterasa.

Jedyna ta w swoim rodzaju podróż, obejmowała wszystko, co dotąd w krajach podbiegunowych odkrytem zostało.

Łączyła ona wyprawy Parry'ego, Rossa, Franklina i Mac-Clure'a i uzupełniła mapę krajów północnych, a wreszcie, co najważniejsze, doprowadziła do niedostępnego dotąd punktu, do bieguna północnego.

Nigdy jeszcze nie przebiegła przez Anglię taka zdumiewająca nowina!

Z szybkością błyskawicy rozpowszechniły druty telegraficzne to wielkie odkrycie; wszystkie dzienniki wypisały na czele swych szpał nazwisko Hatterasa, jako męczennika.

Dla doktora i jego towarzyszy wyprawiono ucztę publiczną, byli też na uroczystej audjencji przedstawieni przez lorda kancle-rza królowej Anglii.

Rząd zatwierdził nadane przez naszych podróżnych nazwy: Wyspa Królowej, Góra Hatterasa i Przystań Altamonta.

Altamont nie odłączał się już od swych towarzyszy niedoli i sławy, którzy stali się jego przyjaciółmi; towarzyszył on też doktorowi, Bellowi i Johnsonowi do Liwerpoolu, gdzie ich z nadzwyczajnym przyjęto zapałem.

Doktor Clawbonny całą jednak sławę przypisywał temu, komu ona się słusznie należała.

W opisie swej podróży „Anglicy i biegun północny“, który następnego roku został wydany przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne, stawia Hatterasa w rzędzie największych podróżników, którzy poświęcili swe życie dla postępu wiedzy.

A tymczasem ta smutna ofiara szlachetnej namiętności żyła spokojnie w szpitalu Sten-Cottage, pobliżu Liwerpoolu, gdzie go umie-

ścił przyjaciel jego doktor. Obłąd jego był łagodny, Hatteras nic nie mówił, zdawało się, że jednocześnie z rozumem utracił też i mowę.

Ze światem wiązało go tylko jedno jeszcze uczucie, mianowicie przywiązanie do Duka, który mu pozostał wiernym towarzyszem.

Choroba miała spokojny przebieg, bez objawów szczególnych. Pewnego jednak razu doktor Clawbonny, odwiedzający bardzo często chorego, uderzony został jego zachowaniem się.

Od pewnego czasu kapitan Hatteras w towarzystwie swego wiernego psa odbywał przechadzki po jednej i tej samej alei, cofał się zawsze napowrót tyłem, a gdy go kto chciał zatrzymać, wskazywał palcem na pewien punkt na niebie.

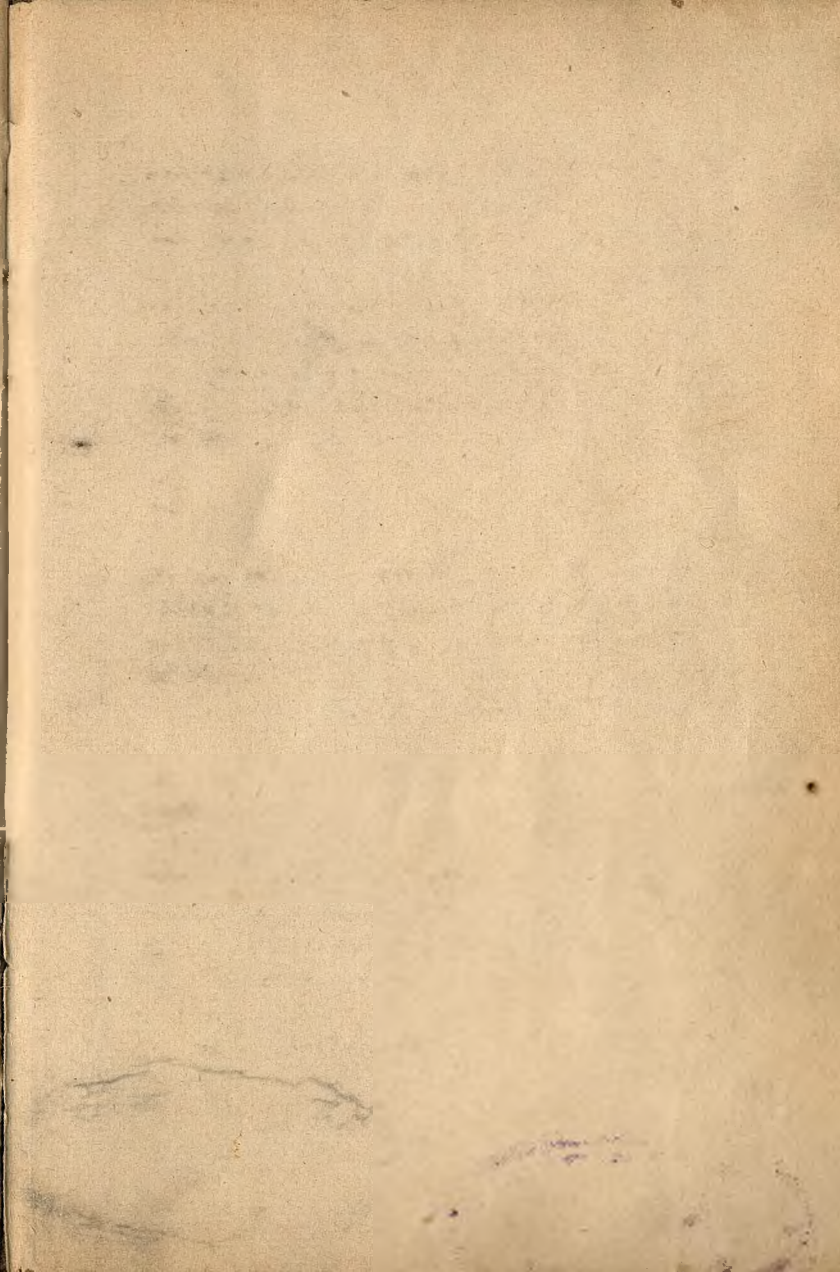
Gdy go zaś chciano obrócić, gniewał się, a Duk, który podzielał jego uczucia, szczekał zawzięcie.

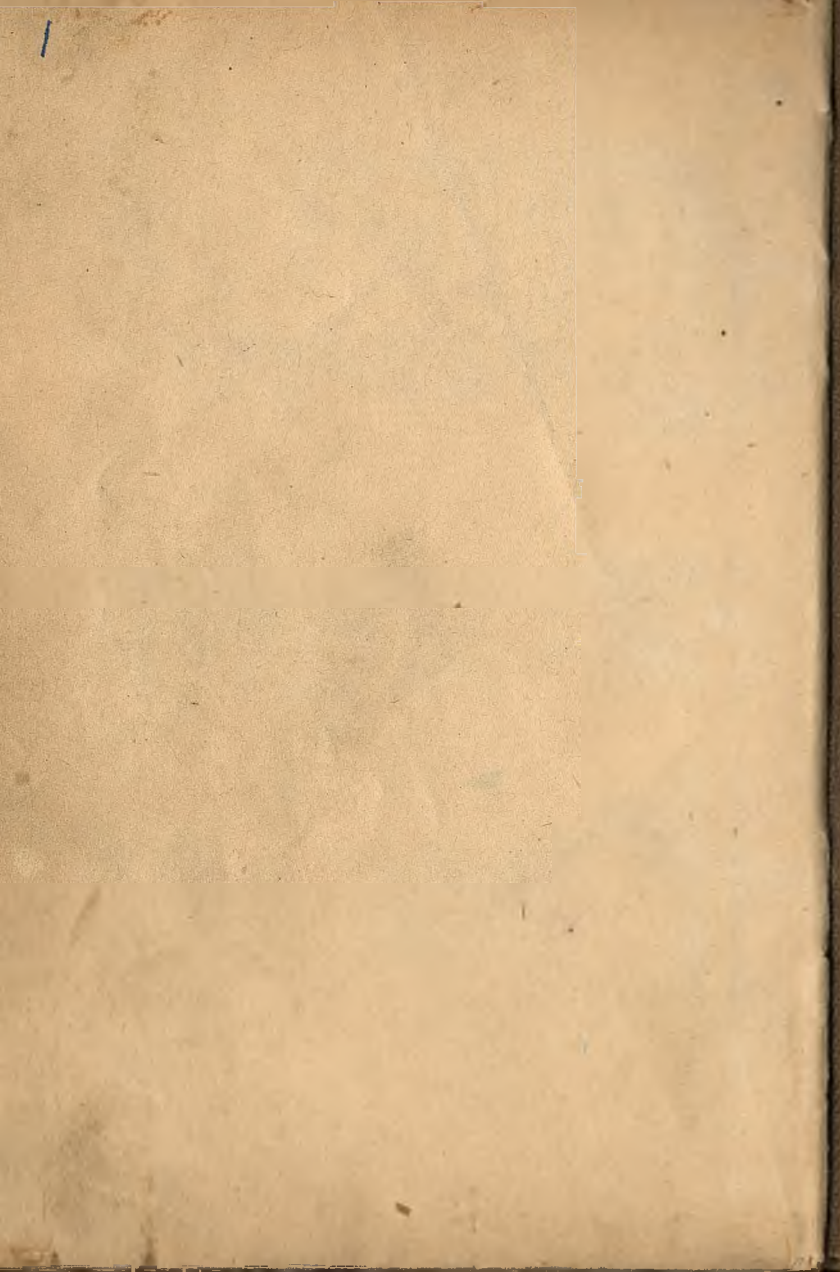
Doktor uważnie obserwował tę manię i odgadł powód tego osobliwego oporu; zrozumiał dlaczego ta przechadzka odbywała się stale w jednym kierunku, jakby pod wpływem siły magnetycznej.

Kapitan Hatteras poruszał się bezustannie w kierunku północnym

◀ □ ▶

K O N I E C .





21,-

897611/18/12

11/12.

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000252835



I 426016